



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca na ziemi włoskiej

ROK IV Nr. 28 (118)

NIEDZIELA, 3 WRZEŚNIA 1944 R.

CENA 10 LIRÓW

ARP.

„NAM STARCZY DUCHA”

Przesłany ze stolicy na falach eteru wstrząsający wiersz powstał w atmosferze, która w Warszawie po miesiącu samotnej, nie wspieranej niemal przez nikogo walki, wiersz to nie zniechęcenia lecz siły, nie lamentu lecz wyzwania, nie boleści lecz dumy, nie skargi lecz oskarżenia i nie wdzięczności lecz pogardy w stosunku do tych na emigracji polskiej, którzy prowadząc politykę, na pokaz znajdują w wypadkach warszawskich jedynie nowy temat nadający się do oklaskiwania przez siebie i przez obcych, a nie czyn i kapitał polityczny. Warto przytoczyć te zwrotki i warto nad nimi zastanowić się przez chwilę:

„Tu, na mogile, leżą czapki na bakier,
Tu u nas, nikt nie płacze w walczącej
Warszawie...

Tu się Prusakom siada na kurk okrakim
I wroga gołą pięścią za gardło się dławil.
A wy tam wciąż śpiewacie, że „z kurzem
krwi bratniej”
I że „z dymem pożarów” niszczyte War-
szawę.

A my tu nagą pierśią na strażą armatnie
I uśmiechem na wasz podziw i na wasze
brawa.

Czemu w dalekich stronach śpiewacie w
Londynie,

Gdy tu nadchodzi wreszcie wyglądane
święto?

Tu małe dzieci walczą, krew radośnie
płynię,

U boku swoich chłopców walczą tu dzie-
wczęta.

Tu bije serce Polski. Tu mówi Warszawa.
Niech pogrzebowe pieśni znikną z audycji.
Nam ducha starczy dla nas. I starczy go
dla was.

Oklasków też nie trzeba. Trzeba animi-
cji”.

Co oznacza ów wiersz bojowy w kurzu i w innc wojennej zrodzony? Czego jest wyrazem? Czy tylko naturalnego rozdźwięku, który powstaje zazwyczaj między grupą walczącą w wyjątkowych warunkach, a tymi, którzy w walkach tych nie uczestniczyli? Czy jest to tylko rozbrat między frontem a tyłami? Byłoby dużym nieogłędnością w sposób tak powierzchownie tłumaczyć sobie zwrotki, dostatecznie wymowne i przekonywujące. Należy sięgnąć głębiej i śmiało rozciągnąć wzrok na wyjątkowo dramatycznych i nieoczekiwanych doświadczeń ostatniego miesiąca, które kobiety warszawskie w odczucie do świata nazwały „jednym z największych skandali międzynarodowych”, zaczęła rodzić się niechęć zarówno do niektórych aliantów jak i do tego odłamu emigracji, który w mniemaniu warszawskich powstańców przestał rozumieć ducha stolicy, a ponadto nie zdał egzaminu nie zapewniający walczącej Armii Krajowej należnej pomocy i nie stworzywszy dla niej możliwie najlepszych warunków walki.

Londyńska emigracja polityczna od dłuższego już czasu — oczywiście z chwałobnymi wyjątkami — zaczęła odrywać się od nurtu, w którym płynię życie walczącego narodu. Pgd tego życia, jego styl wyniosły i hardy był świadomie lekceważony przez niektóre koła emigracyjne, usiłując się za to z nadmierną uległością pod naciskiem takich czy innych oskarżeń czy nawet polececi czynników obcych.

W środowiskach tych zaczęło się wytwarzać lekkomyślne mniemanie, że żołnierze nasz walczą na pokaz, by dostarczyć argumentów propagandowych dla polityki

opartej na przekonaniu, że Polskę odzyskamy wówczas, gdy zastąpimy się to tym, to innym potencjałom. Z chwilą więc, gdy powstał warszawczy — bez względu na dalsze następstwa ich kroku — stworzyli sytuację mogącą budzić podziw czy współczucie świata, spełnili w pojęciowych kół emigracyjnych swe zadanie.

Tymczasem żołnierze polski, zarówno tu we Włoszech jak i we Francji czy w Kraju, nie walczą na pokaz i z walk swych

przedstawienia robic nie zamierza. Chce on, by zmagania jego traktowano poważnie. Przez bój swój twardy, nieugięty, bezprzykładowy, chce on przede wszystkim wyrazić bezkompromisową wolę polityczną i osiągnąć konkretne cele państwowo. Jego czynny bojowe mają być nie błyskotliwymi epizodami dla zapełnienia anegdotami łamów pism obcych (co zresztą nie zawsze się dzieje) ale logicznie powiązanymi ogniwami łańcucha,

przy którego pomocy chcemy wydvignąć wolę Rzeczypospolitej.

Postawę tę wyraża wiersz walczącej Warszawy. Jest on przede wszystkim wyrazem nieugiętego jej ducha, jej stanowiska bezkompromisowego w najczystszej, idealnej postaci. Warszawa po raz drugi poświęciła się w obronie kraju, nie dlatego, by zbierać brawa, lecz by wola państwa nie uległa skażeniu. Żaden kompromis, żadna słabość, żadne lądactwo, a tym bardziej żądna zdrada nie wydobłyby ze stolicy siły nadludzkiej, hartu nadczłowieckiego, woli ponadczłowieckiej.

Naszym obowiązkiem na emigracji jest reprezentowanie tego samego stanowiska. Kto tego nie czyni, kto tego zrozumieć nie chce, przestaje być wyrazicielem ducha narodu. Narzuca się na to, że mu Warszawa odpowie conajmniej sztyderczym „śmiechem”, który przebiją z anonimowego wiersza powstańców.

Podobną wolę upartą reprezentuje żołnierz polski we Włoszech, we Francji, walcząc na morzu i w powietrzu, dając z siebie wszystko w walce z wrogiem, gdziekolwiek może się z nim zmierzyć. Ale dlatego, że tak jest, powstaje rozdźwięk między walczącymi, a tymi, którzy rozumują i postępują inaczej. Rozdźwięk tym niebezpieczniejszy, że może być podchwycony przez czynniki obce, które już usiłują wykorzystywać go, jaka powstaje w Warszawie z powodu braku pomocy i zrozumienia dla jej stanowiska.

Powstanie Warszawy jest bowiem nie tylko czynem wojakowym, ale również politycznym na wyjątkową miarę. Niezależnie od tego, co jeszcze nastąpi i jakie nowe okoliczności ujawnią się w związku z walką stolicy, dwa co najmniej wnioski polityczne winny być rzucone na forum międzynarodowe: kompromitacja samozwańczego „Komitetu Wyzwolenia” i zdemaskowanie stanowiska Rosji.

Powstanie w Warszawie ujawniło niemoce, wprost nieobecność na terenie kraju czynników reprezentowanych w osławionym „Komitecie Wyzwolenia”. Wybuchu w Warszawie nie organizowały siły komitetu. Okazało się, że w żywotnych sprawach narodowych, gdy chodzi o samodzielne decyzje, nie ma on nic do powiedzenia. Jest fikcją, istniejącą jedynie z woli obcych. Tak był zresztą oceniany jednomyślnie przez całą opinię polską nie wyłączając Polskiej Agencji Telegraficznej, dopóki z grupą tą p. Mikolajczyk nie wdał się w pertraktacje jak z równorzdnym sobie czynnikiem. Powstanie w Warszawie wykazało zatem nie tylko szkodliwość, ale i absurdalność rozmów z indywidualniami, które nie reprezentują żadnej istotnej siły polskiej.

Podobną rolę bezwolnych narzędzi w rękach obcych odrywają owe „dywizje” polskie utworzone przez armię czerwoną. Nie wtipny o uczuciach, które ożywiają Polaków włożonych na niższych stopniach w szeregi tych wojsk. Ale odcienie dowodztwa owych „dywizji” uległo ostatecznemu zdemaskowaniu z chwilą, gdy ani jedna z nich nie zdobyła się na zerwanie pgt sowietickich, by podjąć na pomoc Warszawę, by choćby gestem rozpaczy zmanifestować swą solidarność z walczącą stolicą. Oddział naprawdę polski, a nie najomni, gdyby znajdował się tak blisko Warszawy, jak owe „dywizje”, nie potrzebny bezczynności na bój nerwowi, który wstrząsnął do głębi sercami istotnie polskimi. „Dywizje” polskie w Rosji nie przeszły zwycięsko tej pierwszej próby patriotyzmu bez cudzoziystwo. Egzamin nie został zdany. Wywizje te, a ściślej mówiąc ich dowódcziwa, nie stoją bowiem na straży interesu pol-

(Dokończenie art. na str. 5.)



Warszawa — Stare Miasto

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI*)

Jest w Polsce jedna droga

Jest w Polsce jedna droga, od lat wyjeżdżona,
Na wschód północny wiodzie, znana od stuleci,
Za meżem w noc porwanym płakała tam żona
I od matkę oddarte płakały tam dzieci.

Myśleliśmy — czas minął. Ziemia każdym łatem
Z nad Niemna niosła czary i z łuk margarytki,
Ktożby śniąc nad Swiętlicz zatrzymał się na tym,
Ze kiedyś tędy minęły na Szybor kółki.

O poro złud okrutnych, żalona rachubo,
Po której się to samo powtarza, to samo,
Ze lata się wygnaniem, dzień każdy jest zgubą,
A w nocy słychać salwoy za więziennej bramą.

Co nas teraz ocali, z obczyzny sprawałi
I nad Niemna domowy, nad Swiętlicz powróci,
Nę jakie mamy słowo podnosić się bladej,
I niu jakie rozbić te mury, zakuci?

Ach jest to słowo — słyszysz — w słat za nami lecł
I warę nam umawia nad uszkałą zaulość.
Jest w Polsce jedna droga, znana od stuleci,
Którędy wolność wraca z wszystkich wygnan — młóće.

Jest w Polsce jedna droga, gdzie przedzej czy później
Z cierpienń moc taku wyłazi, że Boga zadziwi:
Powracają ofowicie, unarli podtrózu,
Budzą spino — I walczą — polegli i żywi.

JERYCHO

Sześć dni już okrążamy dokoła te mury
I oto sroimny nastal, I lat Twój do góry
Ogromny połność krzyk, i trąby zaprawi,
By stało się proroctwo Twęj mocy i chwytli.

Drzy twierdza niezdołbyta, mur pku i wieża,
I okręży coraz wykazyż o miasto uleża
I bramę uleostopie taranem roztręca,
By stało się, jak reka Twa czeruła kurzęca.

Lecz, Panie, spojrzij na nas! Pod lawiną miasta,
Co sypie się rozbił, w zualisko urasta,
Zostal lud najwierniejszy, bez lęku tam stoi,
Aby stało się zadość kuzkiej próbie Twój.

Spójrz, ho lecy kamienie i rignęce zagłada,
I słac się może ugale, że z miastem, co pada,
Rune wojsko zmiądłone, Twój znak i szwałotary!
— Nie! Jozne nie zginął pod gruzem swej wiatry.

*) Wiersze nadesłane specjalnie dla „Orła Białego” przez poetę, przebywającego w Stannact Zjednoczonych.

M. C.

SŁOWA WCIĄŻ ŻYWE

Nie będąc kruszył kopii w obronie stawiania geniuszu poetyckiego Zygmunta Krasieńskiego na równi z Mickiewiczem i Słowackim. Wydaje się jednak, że najmłodszy z trojcy romantycznej został przez nasze pokolenie pokrzywdzony. Albo raczej: pokolenie nasze wyrządza sobie krzywdę, zaniedbując wczytania się w utwory Krasieńskiego. Jego imię wspomina się rzadko i jakby z niechęcią. Uznaje się wprawdzie wielkość „Nieboskiej”, ale już młynie pamięta się z czasów szkolnych „Irydion”, „Przedświt” i „Psalm”. Wic się za to, że poeta był arystokratą, „alasiem”, konserwatystą, wrogiem rewolucji... Zdaje się, że tu właśnie tkwi przyczyna, dla której Krasieński jest niemożny. Czy jednak słusznie?

Zubożylibyśmy się niezmiernie, odrzucając dorobek twórców, których poglądy różnią się od naszych. Nie trzeba być zwolennikiem ustroju proponowanego w „Republice” Platona, by czerpać z myśli wielkiego filozofa. Nie trzeba być sceptykiem, by się rozkoszować Francją, a nawet rassistowską matematyką nie mogli pominać teorii Einsteina.

Po wtóre, nie należy przywiązywać zbyt wielkiej wagi do upraszczających etykietek. Na poziomie ducha Krasieńskiego oklepane pojęcia nabierają innej, szlachetniejszej barwy. Ten arystokrata daleki jest od zamknięcia się w wiczy z kości sionowicy, od skrywania słabości i błędów własnej klasy. Ten konserwatysta ma poczucie społeczne silniejsze od niejednego patentowanego rudykała, nie waha się grozić niemoralnym władcom światowa anarchią, uważa wyrownanie krzywd warstw upośledzonych za palącą konieczność.

Nie będąc w tym stopniu co Mickiewicz działaczem politycznym, Krasieński był w zamian może trzewiejszym myślicielem politycznym. Był zaś w pewnej mierze i działaczem, poczuwał się bowiem do mobilizowania opinii świata przeciw zaborem. Ta właśnie strona działalności poety nabiera dziś szczególnej aktualności.

Poniżej przytaczamy fragmenty dwóch memoriałów politycznych Zygmunta Krasieńskiego w tłumaczeniu Stanisława Tar-nowskiego: Memoriału do papieża Piusa IX z 1848 i do cesarza Nepoleona III z października 1854 r.

Imponderabilia

„Ta kryzys, co dręczy naszą epokę — pisze poeta w memoriale do Piusa IX — zaczęła się od najwyższej niegodziwości. Pierwszy rozbiór Polski, dokonany bez mała na czterech wieki przed rewolucją francuską, służył poniekąd do usprawiedliwienia, za powód bytu jej skrajności. Jakaż bowiem okropność, jaka zgroza jakiegobądź rodzaju i formy stała się niemożliwą, nie mogła się stać wśród ludów i rządów dość zepsutych na to, by spełnić mord na całym narodzie, albo dość głupich i podłych, by na to patrzeć obojętnie i pozwolić? Ten pierwszy krok w niegodziwości wyprzedził i przyspieszył wszystkie inne. Zasada władzy zachowała się w tym razie tak, przez ten akt powtórzony trzy razy z niezmówną zatwardziałością sumienia, jak żeby sama chciała wszeczenie w ludy bezbożności i zbrodni. To, co się działo we Francji, było pogwałceniem praw boskich przez poddanych, niby odpowiedź na pogwałcenie, dokonane w Polsce przez królów. Stąd chaos straszliwy. Zasada władzy zatraciła sama swoją czesć *) i w ślad za tym straciła wiarę w świecie. Nie była już odąd nigdy uznana za zasadę. Stała się faktem, faktem brutalnym, zaleźnym od przypadku, zwycięskim, jeżeli mógł się oprzeć na tysiącach bagnotów, zwyciężonym, gdzie nie mógł”.

„W chwili, kiedy piszemy te słowa, Europa przedstawia widok trwogi ponurej a uroczystej, widok nigdy nie widziany, odkad pogastał i cesarstwo rzymskie wałło się pod ciężarem barbarzyńców i światłością krzyża. Podobieństwo jest uderzające”.

„Podobieństwo jest uderzające... możemy powtórzyć po 94 latach. „Europa przedstawia widok trwogi ponurej a uroczystej...”. Tak samo dziś, jak wtedy, oportunistyczne odejście od zasad grozi pogrzebaniem tych ostatnich, pozostawia tyko brutalną grę „tysięcy bagnotów”, a „chaos straszliwy” zagraża bardziej niż wówczas.

Dwie zasady

W dalszym ciągu omawia poeta rolę wkraczających na widownię dziejową narodów słowiańskich:

„Ich wystąpienie w sprawach świata może Europę zatrzęść i zachwiać, albo przynieść jej pokój i harmonię. To zależy jedynie i zupełnie od zasady, około której skupią się te ludy. Są zaś dwie zasady, wręcz sobie przeciwne, o które te ludy walczą.

„Jedna zasada, uosobiona w duchu polskim, to sama zasada Kościoła. To jedność, która uznaje i uprawnia prawo każdej z ziemskich narodowości, powołanie przez ofiarę, postępek przez miłość, jedność przez braterstwo. Ale naród, który wyobraża w Słowiańszczyźnie tę zasadę, jest dziś w takim stanie, jak dusza pozabawiona swego ciała. On musi zachowywać się w spr-

zwykłej logiki ludzkiego rodu. Logikę tę osadził na kośćcu granitowym, a dał jej stalowe sprężyny i koła. Zrobił z niej maszynę olbrzymią, nieublağaną, pracującą we dnie i w nocy, miażdżącą tysiące serc i głów na minutę. Cały ród ludzki musi ona zmiażdżyć, żeby zmiążdżony padł na kolana przed despotyzmem, wyniesionym do godności absolutnej prawdy.

„Ta jest najgłębsza, ukryta, umiłowana myśl tego rządu”.

A przeciw Krasieński nie znał Gosplanu, piatiletek, innych nowoczesnych urządzeń...
„A oto prorocze przeczuć bezbożnicwa: „Dąży (ród rosyjski — M.C.) do ubóstwienia egoizmu ludzkiego przez zaprzeczenie Boga i ogłupienie wszystkich. I to sprawia, że jest wrogiem nieprzejednanym wszelkiej duchowej niepodległości. Dlatego walczą on ze wszystkich sił swoich z katolicyzmem; a że nie może go zabie jednym zamachem, więc atakuje go zasadkami i chce w krajach poddanych jego piekielnej działalności doprowadzić go do śmierci przez ubytok sił. Dia niego pozbyć się katolicyzmu, to znaczy pozbyć się Polski, a pozbyć się Polski, to znaczy pozbyć się katolicyzmu, czyli zgładzić raz na zawsze pierwiastek i zasadę wolności. Ten pierwiastek, ta zasada przeszkadza mu stanąć na czele wszystkich Słowian, stanąć na ich czele, żeby ich rzucił na Kościół i na świat!”.

Gdy nie było Enkade...

Niżej charakteryzuje Krasieński stosowany przez Rosję ucisk:

„To, co w nim prawdziwe, jest tak niepodobne do prawdy, że ludzom wydaje się naszym wynysiem. Przez szczyderce zaprzeczenie wszelkiej zasady, a gwałtowne depłanie wszelkiego prawa rosyjski system wznosił się w ziem aż do jakichs rozmiarów nadprzyrodzonych.

„Zgraje urzędników podrzędnych szarpali, gryzą, pozerają ten kraj, jak harpie; hierarchia podlegała i zepsuta kieruje we wszystkich przywódcach i wszystkich występach i wznosi się coraz wyżej, aż do samego cesarza. Ten sto nad tą odchudnia, wyprostowny, nieruchomy, samotny i gardzi swymi poddanymi, albo ich nienawidzi. Nieczłone policje mają zastępować Opatrność w tym państwie bezbożnym, siedzą się jedna drugą, każda przesadza donosy i denuncjacje drugiej, wymyślają polityczne przestępstwa. Kiedy te stają się rzadkimi, wywołują spiski; kiedy umysły zmęczone zdają się usypiać, robił sobie ohydny igraszkę z życia i wolności ludzi, byle tylko mogły pokazać rządowi, jak bardzo mu są potrzebne”.

„Wierny poddany, obowiązany donosić, staje się w oczach rządu człowiekiem bez honoru, jeżeli nie stanie się człowiekiem bez honoru przed swoim własnym sumieniem. Człowiek uczciwy jest pod niewiedzialnym, ale nieustannie prześladowanym; każdy ojciec truchleje o swoje dziecko i zmuszony jest z miłości doradzać mu podłość. Udawanie, chytryg, kłamstwo to aniły-stróż, do których ucieka się, kto nie chce przyspieszyć swojej zguby. Umość zniszczona między najbliższymi nawet; szersze podejrzana, prawda: nie do znalezienia! Wszystko, co dusze ludzkie łączy z sobą, to rozluźnione podejrzeniem; każde słowo szlachetne może być przewrotnym, podobnym do zdrady; odwaga może być udaną postawą, przybraną przez szpiega. To, co ludzkiemu sercu wrodzone, to tam stało się wyjątkowym, dziwnym; co jest obowiązkiem, to staje się szaleństwem, obowiązkiem to, co jest wstydem. To się nie da opisać, opowiedzieć: w całej swojej okropnej rzeczywistości: żeby wycisnąć, trzeba samemu doświadczyć. To jest niestety cud okrucieństwa i niedoli. To jest jakaś czarnoksiężska nauka zbrodni, do nas stosowana, na nas praktykująca”.

„A jednak, pomimo tego potopu kłęk, w którym miałaby utonąć Polska nie przestaje walczyć. Swoją wielką misję ona pełni po dziś dzień. Politycznie żyjąca czy umarła, rzeczpospolita czy idea, mocarstwo czy widmo, ona zawsze powstrzymuje na kresach Europy wspólnego nieprzyjaciela. Nie może go odepchnąć zwycięstwami: utrudnia mu pochodń konwulsjami. Jej niezmierzone cierpienie jeszcze zastania świat, jeszcze broni Kościoła, jeszcze mówi z Ajzi: „Ty nie porzódz dalej!”.

„Taki jest prawdziwy stan rzeczy. Ktokolwiek ma sumienie, wie to i uznaje. Ale te wysilenia nadliczkie czy będą mogły ciągnąć się jeszcze długo?”.

Polska probierzem...

(O masach rewolucyjnych): „Kto im wytumaczy, że mogą polgać spokojnie na dobrej wierze rządów, kiedy te rządy same powstają z oszukaństwa, z kłamstwa, z gwałtu, kiedy przez wieki całe żyły w niegodziwości, kiedy poświęcały ludność, całe i ludy swemu samolubstwu, kiedy zabierały słabsze państwa z pewnością że stałe o swej ży-czliwości i uczciwości? Czyż te rządy i teraz nie zrobią tego samego? Czyż nie przyrzekną ratunku, żeby tym łatwiej zadać śmierć? Jeżeli im się zostawi czas, to któż wie, czy nie wymyślą jakich piekielnych maszyn do zabijania ryczałem, albo jakich sposobów sztucznej zarazy, żeby zmniejszyć liczbę ludzi na ziemi. W każdym razie potroją swoje wojska, swoje policje, swoje skarby i staną się niezwy-ciężnymi”.

„Co odpowiedzieć na podobne niedowierzenia? Jak zatrzymać na ustach milionów ten krzyk radykalizmu? Jak odjąć wpływ i siłę tym komunistycznym przy-wodcom, co ich prowadzą i pchają na drogę zniszczenia? Jaki im dać zakład pewności, jaka rykomość? Jedna tylko jest, jedna możliwa i wykonalna i jedna powszechna, uniwersalna, bo dostalaby się zaraz do wiadomości wszystkich i przekonałaby każde ludzkie sumienie. Ta odpowiedź zwycięska, ten zakład, ta rykomość najwyższa, to odbudowanie Polski! Innych nie ma”.

A dalej (o Polsce):

„Nie ma w niej tego rozdarcia sumień, które ludzi dręczy gdzie indziej. Kiedy zda przyszyłci, nie żąda niczego nieprawnego, nie dozwolonego, nie znanego; nie zdą zarazem nowego rozwoju. Na tym polega jej wewnętrzny spokój. Z drugiej znow strony, przez dwoistość swojej natury, która na nią włożyła obowiązek odparcia Azji od Europy, a objawiania Europy przed Azją. Polska ciąży zawsze na losach jednej i drugiej”.

To jedna alternatywa przed światem stojąca, dadatnia. A druga:

„Polska ginąc zostawi świat na pastwę europejskiej anarchii i wschodniego barbarzyństwa; oboje będą nieuniknione. Anarchia europejska, rozdzierając się własnymi zębami ułatwi spełnienie marzeń wschodniego barbarzyństwa. Ukazę się na horyzoncie sztańdar moskiewski, będzie rósł, będzie się przybliżał, a w Europie ludzie skalan; krwią suchych braci uwielbiał to goda azjatyckiej idei wśród zwalisk, jakich sam narobił, aż ich obejmie szła Kaina i ogłupienie Nabuchodonozora”.

Polityka dobrej woli

„Póltrzecia wieku temu król polski, Stefan Batory, na czele zwycięskiego wojska szedł na Moskwę. Jezuita Possevin, postany przez jednego z poprzedników Waszej Świątobliwości, stanął przed nim i w imieniu papieża zakłinał króla, by nie gubił tej moskiewskiej hidry. Za tę cenę car obcał nawrócił się z całym swoim ludem. Ustuchaliśmy. Wstrzymaliśmy śmiertelny cios, zawieszony nad głową naszego najgorszego nieprzyjaciela. Comęliśmy się w swoje granice; przez to zgodowaliśmy swojej ojczyźnie klęski nieprzeleczone”.

„W sto lat później, kardynał Pallavicini, legat innego poprzednika Waszej Świątobliwości, w chwili, gdy Wiedeń miał wpaść w moc turecką, ukłakił przed królem polskim Janem Sobieskim i z łzami zawołał: „Ratuj chrześcijaństwo!”. Usłuchaliśmy znowu. Posłaliśmy na pomoc Austrii i przez zwycięstwo nieśmiertelne ocaliliśmy jedno z tych trzech mocarstw, co nas tozobra: miały”.

Absolutyzm rewolucyjny... i komintern

Widzieliśmy już, z jak nieublağaną logiką poeta demaskuje w uważanym wówczas za filar „Świętego przymierza” i „porzdku” europejskiego mocarstwa — czynnik światowej anarchii, w zewnętrznej religijny, zmroźniły z cerkwią reżymie — bezbożnictwo, w rzekomej zachowawczości

(Dokontczenie art. na str. 3)



(Rysunek Cypriana Norwida)

Zygmunt Krasieński

wach politycznych tak, jak się zachowywał pierwsi chrześcijanie w sprawach religijnych. Może wyznać swą wiarę, obwieścić ją, a przez to wydać się w ręce katów.

„Naprzeciw niego, przeciw niemu, stoi ogrom bez stałych konturów, państwo bez granic, ciało bez duszy. Iskry z nieba mu brak; umiał wciągnąć w siebie, natchnął się wszelkimi wyciewami zepsucia, jakimś zły duch kiedykolwiek rozwiał w święcie. To Rosja, lub raczej to rosyjski rząd; bo ten rząd tak dobrze umiał wchłaniać w siebie całe życie swego ludu, że wyrzucił prawie ten lud z historii, a sam stanął na jego miejscu. Wszystko w nim potworne, dziwne, straszne. Przeciwiństwo najuczulawszego gwałtu w okrucieństwie i najdoskonalszego spokoju w podstępnie i zdradzie, rys główny tego charakteru, pozostałby zawsze niezrozumianym i niewytłumaczonym, gdyby powodów jego nie szukać w okolicznościach towarzyszących jego formacji i jego wzrostowi. Ich własne świadectwa uczą nas, że charakter ten zrodził się ze spotkania się na jednym granicy dwóch sił zarówno zgubnych, ale absolutnie różnych. Jedna nieruchoma, chcąca uwiecznić zepsucie i spróżniałość, to duch bizantyjski. Druga, ze wszystkich, jakie były, najbardziej niszcząca — bo przeciw niej chciała pochodem swoim zagładzić rz do podległa Bóstwa — to popęd zdobywczy Mongołów. Rząd rosyjski, wychowany w religijnych błędach pierwszej z tych sił, upojony niszczytelką namiętością drugiej, nie dał się nigdy przejąć żadną europejską ideą. W stosunkach z cywilizacją łacińską pozostał zawsze wschodnim i barbarzyńskim, ale umiał ze zręcznością zdumiewającą korzystać ze wszystkiego, co na zachodzie królówie lub fakcie w chwilach wzajemnych walk wymyślił lub rohił na to, by chwycić w swoje ręce władzę zbyt wielką i samowolną. W biurokracji, w wojskowości, w policji, rząd rosyjski przejął już wszystko od Prus i od francuskiej Konwencji. Jak w formie jaką rzucił razem bezładnie różne własności Focjusza, Tamerlana, Fryderyka i Robespiera, w gorzejnicy piec swoich własnych pań. W tym ogniu stapał myśli, wady, herezje, zbrodnie, chytryści, genialność i wydobywał z niego system zupełny i konsekwentny, oparty na osobnej własnej logice, niepodobnej do

*) Wszystkie podkreślenia moje — M. C.

VAMOS SANDOR

POLSKA w OCZACH WĘGRÓW

Niniejszy artykuł otrzymaliśmy od Węgry, wyprobowanego przyjaciela Polski, który od początku wojny wspólnie z nami zajął czynne stanowisko antyniemieckie. Artykuł ten jest wyrazem postaw nurejących wlewu Węgrów.

Red.

W chwili wybuchu wojny polsko-niemieckiej, w piśmie budapeszteńskim „MAGYAR NEMZET” ukazał się artykuł jednego z generałów armii węgierskiej rozpoczynający się słowami: „Bratni naród polski znajduje się w wojnie z zaprzęgniętą Rzeszą Niemiecką”. To jedno zdanie w sposób najbardziej charakterystyczny ujmowało postawę narodu węgierskiego w obliczu wrześniowego konfliktu. Tłumaczy ono najdokładniej stosunek Węgrów do Polski i Niemiec.

Dlaczego właśnie tak została sformułowana sytuacja wrześniowa? Wiele czynników złożyło się na to, że dla Węgrów Polacy w 1939 roku to był naród bratni, a Rzesza Niemiecka była tylko państwem zaprzęgniętym. W pierwszym określeniu tkwił głęboko cały zespół czynników uczuciowych, czynników braterskiej wspólnoty. Drugie określenie obejmowało tylko chwilowy układ stosunków politycznych.

Na określenie „Bratni naród polski” w pierwszym rządzie złożyły się czynniki historyczne. W świadomości historycznej narodu węgierskiego istnieją fakty stale pamiętne i niezmiernie ważne. Są one aż do tych czasów, kiedy to tworząca się potęgą Polski Jagiellońskiej wylała krew zbliżyła narody węgierski i polski. Są to czasy, kiedy na tronie Polski zasiadał Ludwik Andegawski, kiedy Królowa Jadwiga pamiętała stałe o swojej węgierskiej ojczyźnie, kiedy panowie polscy na Węgrzech szukali zwyczajów dynastycznych, kiedy na koniec król Polski i Węgier Władysław Jagiellończyk śmiertelnie swoją bohaterką pod Warną powiłał oba narody, znajdując się na granicy przedmurza chrześcijaństwa. Ten akt wspólnoty politycznej i uczuciowej powtórzył się jeszcze, kiedy na tronie polskim zasiadł książę siedmostrzodki, Batory.

Zapewne jednak te odległe precedensy historyczne nie stworzyły warunków do braterstwa i przyjaźni między Polską a Węgrami. Momentem najbliższym związku ideowego dwóch narodów był przede wszystkim okres europejskiej wiosny ludów, rok 1848. W tym to czasie, kiedy Europa wstrząsała powstaniem narodów walczących o wolność, hasła polskie i hasła węgierskie tworzyły jeden wspólny program, który łączył bojowników polskich i węgierskich we wspólnej walce. Wtedy to Węgrzy i Polacy zrozumieli najlepiej sytuację polityczną, w której się znajdują i dali jednolity wyraz charakteru ideowego. Na polach walk o wolność Węgier wyróżnili postacie Bema, Dembińskiego i wielu innych. „Ojciec Bema” (Bem apo) — jak go Węgrzy nazywają — został w pamięci Węgrów jako historyczny bohater narodowy. Z tych to czasów datuje się przyjaźń najwybitniejszego poety węgierskiego Petöfi'ego do Bema i Polaków. Narodowy wieszcz węgierski poświęcił Bemowi szereg swoich utworów, które po dziś dzień powtarzają dzieci węgierskie w szkołach. Na placach wlewu miast węgierskich wznosił pomniki Bema, po dzień dzisiejszy otaczane głęboką i troskliwą czcią. Petöfi, poeta i żołnierz, adiutant generała Bema, w utworach swoich dał wyraz świadomości wspólnego niebezpieczeństwa, jakie zagraża Węgom i Polsce od strony Niemiec i Rosji. Kiedy bagnet rosjskie śmiały powstanie węgierskie, naród zrozumiał głęboką prawdę wskazał swojego wieszca, który śmiercią na polu walki udukuementował swoją postawę ideową. I od tego czasu nurtować będzie wśród obu narodów konieczność: walki, konieczność przecistawienia się obu wrogim siłom — Niemcom i Rosji. Jakikolwiek były losy polityczne obu narodów, świadomość tej prawdy politycznej przetrwała po dziś. Na tym też leży wyróżnie o obu narodów tradycja rycerskiego romantyzmu, który bez względu na przewagę przeciwnika nie zgodzi się na rezygnację z zasadniczych postulatów narodowych.

Dlatego, kiedy wybuchła wojna polsko-niemiecka, Węgrzy byli bodaj że jedynym narodem, który rozumiał nieustępliwą po-

stawę Polski wobec Niemiec. Jakkolwiek Węgrzy znaleźli się w tym momencie w układzie politycznym związanym z Niemcami, nie mniej głęboko rozumieli tragizm tej sytuacji. Być może, gdyby nie mieli za sobą gorzki i bolesny rozczarowań do polityki mocarstw zachodnich, gdyby nie mieli za sobą w pamięci traktatu w Trianon, gdyby nie mieli w świadomości Monachium, które ukazało słabość polityki alianckiej i nierozważenie spraw kontynentu europejskiego — nie znaleźliby się po stronie niemieckiej, do czego zmusił ich układ sił politycznych i położenie geopolityczne. Nie przeszkodziło to jednak na-

rodowi węgierskiemu odnieść się z żywiołową sympatią dla samotnie i tragicznie walczącej Polski. I dla tych to powodów węgierski generał tak trafnie określił sytuację powstałą we wrześniu 1939 roku słowami: „Bratni naród polski i zaprzęgnięta Rzesza Niemiecka znajdują się w wojnie”.

Pamiętam, jak w chwili upadku Warszawy społeczeństwo węgierskie zareagowało na tę tragiczną wiadomość nie jak na sensację dziennikarską, ale z głębokim i bolesnym uczuciem. Delegacja różnych organizacji społeczeństwa węgierskiego w tym dniu złożyła hołd bohaterkiej Warszawie,

składając wieńce przed pomnikiem Bema w Budapeszcie w cichej i żalobnej manifestacji. A były to już czasy, kiedy czynniki niemieckie coraz silniej opanowywały państwo węgierskie. Nie przeszkadzało to narodowi węgierskiemu w sposób jak najbardziej serdeczny przyjąć rzesze żołnierzy polskich i uchodźców, które przekroczyły granicę węgierską. Oficjalnie czynniki rządowe, pomimo nacisku niemieckiego, starały się jak najlepiej zorganizować przyjęcie żołnierzy i uchodźców polskich. Nie było to łatwe w ówczesnej sytuacji politycznej Węgier, ale ci wszyscy, których droga do armii polskiej prowadziła przez Węgry, z pewnością ocenili i zapamiętali wysiłki władz węgierskich. Armia polska, która powstała we Francji, a zwłaszcza brygada Karpacka w Syrii — śmiało można stwierdzić, że w dużej mierze powstanie swoje zawdzięcza tej właśnie polityce węgierskiej.

Myszę, że w pamięci żołnierzy, którzy pracowali przez Węgry, pozostały wspomnienia wzruszające serdecznością i gościnnością narodu węgierskiego. Sam, jako Węgier, który w tym czasie przebywał w kraju, spotykałem się z objawami niezwykłej serdeczności i przyjaźni Węgrów do Polaków. Trudno mi zapomnieć postać starszki z Micokeoewsd, którą spotkałem wychodząc z konsulatu R. P. w Budapeszcie, gdy zwróciła się do mnie, jako do znającego język polski, z prośbą, ażebym jej wynalazł dwóch Polaków, którym pragnie się zaopiekować, jak synami, aż do końca wojny. Nadmieniam przy tym, że mąż jej zmarł niedawno na atak serca po uszczerbku w wiadomości o upadku Warszawy. Takich, podobnych i podobnie wzruszających momentów można by wyliczać bardzo wiele. Tak reagowała obrzydliwa większość społeczeństwa węgierskiego, bez względu na swój stan i pochodzenie. W chwili, gdy Węgrzy wypowiedzieli wojnę Rosji sowieckiej — admirał Horthy zapewnił rzesze uchodźców polskich na Węgrzech, że bez względu na to, iż Węgrzy znaleźli się dziś otwarcie w przeciwnym obozie niż Polska — Polacy przebywający na Węgrzech liczyć mogą na gościnność i opiekę władz węgierskich. Do chwili wkroczenia wojsk niemieckich do Węgier — Horthy słowa swego dotrzymał.

Podczas walk brygad Podhalańskich w Norwegii byłem świadkiem samorządnej manifestacji oficerów węgierskich na cześć Polaków walczących na dalekiej Północy.

Można by wiele wyliczyć podobnych momentów. Wystarczy przejrzeć dokładnie komplety polskiego pisma wychodzącego w Budapeszcie, aż do chwili okupowania Węgier — „Więci Polskie!”, ażeby przekonać się, jak nawet w okresie rozległych wpływów politycznych Niemiec, pomimo stanu wojennego pomiędzy aliantami a Węgrami, przyjaźń węgiersko-polska nie zmieniła się. Dopiero teraz, wobec napierającej na granicę węgierskie armii rosjskiej, kiedy Niemcy całkowicie opanowały państwo węgierskie, Węgrzy zmuszeni byli ustąpić żądaniom niemieckim. A pomimo to i teraz jeszcze wiadomości przychodzące z tamtego terenu wskazyją, że wielu Polaków chroni się do Węgier w obliczu niebezpieczeństwa sowieckiego.

Węgrzy z głębokim zainteresowaniem śledzą przebieg sprawy polskiej na arenie międzynarodowej. Jest ona dla nich wykładnikiem polityki alianckiej. Zdają sobie sprawę, że w dużej mierze od losu Polski zależny jest los Węgier. Świadomość niebezpieczeństwa sowieckiego, które zagraża Polsce, w równej mierze nurtuje naród węgierski. Trzeci hymnu polskiego „Boże coś Polskę” — który każde dziecko węgierskie zna do szkół, brzmiał teraz specjalnie tragicznie dla każdego Węgry. I jeżeli nie nastąpią dostatecznie jasne przejawy uczciwości i sprawiedliwości wobec Polski, która walczy po stronie alianckiej, Węgrzy nie zgodzą się na zautanie do polityki sprzymierzonych. Naród węgierski tak jak i naród polski nie rozumie tzw. „kombinacji politycznych”, dla których poświęca się życie narodów. Krocy on drogę honoru i poczucia sprawiedliwości działając.

W chwili obecnej, jak w żadnym innym okresie historycznym, niebezpieczeństwo stłumienia wolnego życia narodów środkowo-europejskich, wśród których Polska i Węgrzy są związane naturalnymi węzłami przyjaźni, wskazuje obu narodom drogę wspólną, trudną ale jedynie sprawiedliwą i słuszną.



Badanie map przez członków „Oddziału Dywersyjnego” Polskiej Armii Krajowej

SŁOWA WCIAŻ ŻYWE

(Dokończenie ze str. 2)

polityki zewnętrznej — imperializm zaborczy. A to ustępy innego memoriału, pisanego w 1854 r. (wojna krymska) do Napoleona III, gdzie przenikliwie Krasziński, pozwala mu już wówczas doszukać się w najbardziej reakcyjnym absolutyzmie — pierwiastków komunizmu i rewolucji społecznej.

„Srogość nieublagana, a zimna chanoj mongolskich stała się sprężyną jej (Rosji) administracji. Urządzenia gminne pierwotnych Szwajm przechowały się u jej ludu. Rosja jest wielkim komunizmem, rządzonym przez władzę, zarazem wojnową i teokratyczną; ta władza zaś, równa terrorowi z roku 1793 w okropności, jest od niego nierównie wyższą w swej organizacji i w swojej zdolności trwania. Danton, Marat, Robespierre to figury blade, jeżeli się je postawi obok rewolucjonistów w takich, jak Iwan Groźny, jak Piotr Wielki, jak Mikołaj I”.

(Rosjanie) ... Roszczą sobie i marzą, że przydziej czy później cały świat będzie poddany tej niewoli, tak jak oni. Stąd u nich ten namityny szal podobno; on jeden pozwala im zapominać o własnych mękach, bo im daje nadzieję ucisku i cierpienia drugich. Idea monarchii uniwersalnej, to jest w Rosji; miedzymyż pakł zawarty między rządem a poddany; za tę cenę dana jest pierwszemu moc zlamania wszelkiego oporu w drugich. To jest prawdziwa zasada skonservatywnego tego strasznego stanu rzeczy; to jest tajemnica i dusza tego cesarstwa. Nic się wnikł nie spodziewa, że wyrzeknie się jej kiedy czy ten rząd, czy ten lud; nie wyrzekną się, bo to jest razem i forma ich bytu i racja ich bytu.

„Jedzi Rosja ma przestać być pląską, gotową zawsze spaść na Kościół, na cywilizację, na świat, to jest na to jeden tylko sposób, doprowadzić ją do zupełnej niemocy. Wszelki pokój, zawarty przed tym ostatecznym rezultatem, pogorszy tylko sytuację i popchnie nieprzyjaciela do nowych i straszniejszych wysiłków. Upokorzony, ze-

zdarta maską, ale nie osłabiony, chwyci się on innej broni i znowu powtórzy swój chybiony zamach na Konstantynopol, przegolowuje sobie inne drogi, ciemniejsze a skuteczniejsze. Poda rękę wszystkim tajnym stowarzyszeniom, wszystkim konspiracjom i tajnym konszachtom. Będzie je opłacał swoim złotem, a popierał swoimi intygami. Jednym słowem odda całą swoją potęgę na usługi rewolucji: społecznej, by obalił trony tych dynastii, co święcie zerwały z nim przymierze, albo nim wzgardziły.

„Jeżeli mi kto zarzuci — w wieszczym istocie natchnieniu ciągnie Krasziński — że rząd rosjski zbyt często, zbyt uroczyście głosił przed całym światem swoje zasady, iżby mógł zwrócić się w tę stronę, temu odpowiem, że jedyną zasadą tego rządu jest nie mieć żadnej zasady. Odpowiedziałbym nado, że jest i było zawsze ukryte a głębokie pokrewieństwo między duchem rosjskim a duchem rewolucyjnym. Te dwa duchy zajął się odpychać i walczyć z sobą wzajemnie, ale nie dlatego, jakoby różniły się od siebie istotą swej natury, tylko dlatego właśnie, że oba dążą do tego samego celu, a każdy chciałby osiągnąć ten cel sam dla siebie. Bo istotnie, tej rolę, jaką gra stromiowemu demagogiczne w każdym narodzie z osobna, Rosja gra od dawna wzięciem wszystkich narodów razem wzięciem”.

Wielu europejskich i pozaeuropejskich mędzów stanu wydaje się dziś jeszcze nie rozumieć tego, co rozumiał przed wiekami przebywający na emigracji, rozporządzający o wiele skromniejszym materiałem obserwacji, pozbawiony aparatów informacyjnych polski poeta. Co dziwniejsze, wydają się tego również nie rozumieć odpowiedzialni politycy narodu, który po części tego wdął, a który już po jego śmierci zebrał na tym polu plon doświadczeń obfity i bolesny.

M. C.

I. M. BOCHEŃSKI, O. P.

„KATOLICCY KOMUNISTI”

Rozważania niniejsze mają charakter szkicowy uwag o wielkim splocie zagadnień, bez pretencji do poruszania w nich nawet wszystkich spraw podstawowych. Chwila wydaje się odpowiednia do omówienia problemu: we Francji i we Włoszech powstały niewielkie, ale — dzięki sowieckim finansom — krzykliwe ofendki „katolików komunistów”, a propaganda rosyjska wyciąga siły, aby ich wpływ wzmocnić.

1. Pierwsza rzecz, którą trzeba tu podkreślić, to sprawa metody. Nie posuwam się tak daleko jak niektórzy metodologowie głoszący, że obrana metoda decyduje zawsze o wyniku dyskusji. Jest to zapewne przesada; ale prawdą pozostaje, że metoda ma zawsze ogromny wpływ na przebieg sprawy. Ze strony katolickiej wybrano w dyskusji z katolickimi komunistami możliwe najniebezpieczniejszą metodę, zagadnienie stawia się na płaszczyźnie własności prywatnej, praw robotników i tym podobnych problemów społecznych. Otóż składa się tak, że (1) pod tymi względami najwięcej jest między katolicyzmem a komunizmem podobieństwa, (2) tezy katolickie związane z nim są niemal bez wyjątku pozbawione charakteru dogmatycznego; tak np. nie jest dogmatem wiary, że ma istnieć własność prywatna, a z drugiej strony nie jest dogmatem żadne z zasadniczych twierdzeń „Rerum Novarum”; (3) odnośnie komunizmu mamy do czynienia z twierdzeniami wysuwanyymi wprawdzie ustawnie na pierwszy plan, ale które mają charakter wtórny względem innych, głębszych tez systemu; wszędzie (4) chodzi o te właśnie tezy, które najczęściej symbolizują wzbudającą dla komunizmu i wysuwanie ich fałszywie uczuciowo prawdziwy obraz systemu.

Stawiając sprawę w ten sposób musi się w dyskusji przegrać. Nie można przeczyć katolikowi, który żyje Ewangelią, mówić, że komunizm jest zły, bo chce zmienić istniejący porządek, skoro każdy uczywie katolik tej zmiany pragnie. Jeśli wolno zrobić wyznaczenie osobiste, jedną z moich największych tragedii myślowych jest fakt, że dzięki istnieniu komunizmu nie mogę jak bym chciał, być konsekwentnym rewolucjonistą. Bo mnie samemu — a wierzę, że większości wśród nas — kością w gardle stoi zaległa atmosfera klasowych podziałów, nieuzasadnionych przywilejów, panoszenia się nierobów i głupców, krzywdy ludzi dobrych i wartościowych. Tymczasem wytworzyli się takie położenie, że nie wolno mi z rewolucją współpracować, bo gdybym to uczynił, poparłbym realizację nie hasel Ewangelii i bardziej ludzkich stosunków między nami, ale systemu komunistycznego, który jest ich zaprzeczeniem. Jeżeli jednak nim jest, to nie dlatego, że hasel społecznych używa.

W komunizmie odróżnić trzeba trzy płaszczyzny: płaszczyznę podstaw ideologicznych, z której cała reszta pochodzi, płaszczyznę hasel społecznych i płaszczyznę realizacji. Ta ostatnia jest dobrze znana większości z nas, którzy mieli sposobność żyć w lagrach, kolechozach i miastach rosyjskich. Jest to płaszczyzna ponura. Ale dlaczego jest taka? Czy dlatego, że komunisci głoszą równość, wspólnotę gospodarczą i tym podobne? Ich ekonomiczna doktryna ma, rzecz jasna, pewien wpływ na rzeczywistość. Rozstrzygające działa coś zupełnie innego, a mianowicie ideologiczne założenie. I dlatego celowa dyskusja o komunizmie musi być prowadzona na płaszczyźnie tych właśnie podstawowych założeń, a nie na płaszczyźnie hasel społecznych czy gospodarczych.

2. Jeżeli poddamy założenia komunizmu dokładniejszej analizie, okaże się rychło, że mimo wielu dodatków późniejszych, komunizm jest w swojej istocie nieczym innym, jak najbardziej konsekwentnym i logicznym wyrazem tak zwanego „naukowego” poglądu na świat z XIX wieku. Ten pogląd z kolei ma swoje źródło w myśli wielkiego Żyda holenderskiego, Spinozy.

To jest, nie chciałbym krzywdzić pamięci myśliciela, do którego, mimo radykalnie różnych przekonań, mam, jak każdy myśliciel Europejskiej, głęboki szacunek. Są u Spinozy dwie strony systemu, powiązane psychologicznie przez zar religijny duszy semickiej, ale logicznie nie do pogodzenia: strona „naturae naturatae” i strona „natu-

rae naturantis”. Ta druga, mistyczna, z której myśliciel widzi świat „sub specie aeternitatis” *) i potrafi zakochać swoje dwoje rodzajem hymnu ku czci miłości Boga, w jaskrawej stoi sprzeczności z pierwszą. W tamtej rzeczywistości pojęta jest jako nieustanny proces, obrzeczony kowalowsko zjawisk, powiązanych wzajemnie przez deterministyczne prawa przyrodnicze. Człowiek nie istnieje; z zewnątrz, to ciągły strumień procesów fizyko-chemicznych, z wewnątrz taki sam, dokładnie do pierwszego przyporządkowany strumień procesów psychicznych, nieosobowych, pędzonych podobnie jak procesy fizyczne przez nieznaną siłę. Jedną jest tylko rzeczywistość: Świat czyli Przyroda. Poza nią są tylko „modi” przejściowe kombinacje aspektów wszechrzeczy.

Nauka XIX wieku podjęła tę stronę myśli Spinozy, poparała ją mnóstwem „dowodów”, uzupełniła myślą o ewolucji, której u Spinozy jeszcze nie ma, nadała jego koncepcji jednoczącą materialistyczną wykładnię. Mimo fragmentów hedizmu, które komunizm nie wiadomo po co ze sobą obnosi po świecie, jego ideologia, to w gruncie rzeczy nie innego jak czysta interpretacja myśli Spinozy: do ostatnich granic posunięty materialistyczny naturalizm.

3. Analiza wszelkiego chrześcijaństwa w ogóle, a katolicyzmu w szczególności wykazuje równie łatwo, że na dnie jego doktryny leży myśl innego wielkiego człowieka: św. Augustyna z Hippo. Naturalnie,

*) „pod kątem widzenia wieczności”.

katolicyzm jest czymś więcej niż św. Augustyn. Ale ramy filozoficzne naszego poglądu na świat są jego. Straszliwe starcie komunizmu z katolicyzmem, którego będziemy pewnie sami niebawem świadkami, widziane z historycznej perspektywy nie będzie nieczym innym, jak walką tych wielkich duchów: amsterdamskiego Żyda i rzymskiego biskupa Hippo.

Co to jest św. Augustyn? U podstaw systemu leży, w przeciwieństwie do Spinozy, dualizm materii i ducha. Co prawda, dualizm uumiarkowany przez powoływanie Boga, źródła obu czynników w świecie. Ale o dualizm przecież chodzi: z praźródła wszechrzeczy — z Logosu — pochodzi z jednej strony Przyroda, z drugiej Duch. A że „Bóg jest duchem” dwa są u Augustyna podstawowe twierdzenia: że duch na ziemi do przyrody nie należy, choć z nią jest związany, i że przyroda jest dla ducha, nie na odwrót.

Stąd — znowu w przeciwieństwie do Spinozy — człowiek staje się u Augustyna czymś wielkim i świętym. Każdy człowiek bez wyjątku ma w stosunku do przyrody autonomiczność: jego cel nie leży w przyrodzie, jego prawa działania nie są we wszystkim prawami przyrody, jego pochodzenie nawet nie jest czysto przyrodnicze.

I u Augustyna kluczem systemu jest, jak u historycznego Spinozie, hymn miłości Bożej. Ale ten hymn jest u niego logicznym zakończeniem myśli: bo system Augustyna jest systemem wartości, w którym istnieje — i istnieć musi — coś więcej niż brutalny fakt, coś więcej niż bezwzględna walka kierowana przez ślepe siły przyrody.

4. Gdy się wmyślam w Spinozę, uderza mnie zawsze wspaniałostka konsekwencji, z jaką jego myśl wcielił w życie komunizm. Naturalizm nie znosi bezwzględnych wartości, bo przyroda w oderwaniu od ducha nie zna ani dobra, ani zła; komunisci tępią czystą naukę, czystą sztukę, obiektywną etykę. Naturalizm nie zna innego prawa pozażądania celu przez środki i brutalnej rozprawy z wszystkim co słabsze, co „jacobine”, bez względu na wszelkie okoliczności moralne. Naturalizm nie może przyznać człowiekowi wyjątkowo miejsca pod słońcem; komunisci mówią umierającym: „kiedy zdechniesz, to cię wyrzucimy” i potrafi miliony istnień ludzkich łamać dla osiągnięcia celów gospodarczych i politycznych. Przyroda nie zna modlitwy i ofiary; w Sovietach niczego się nie przesądza bardziej niż religii.

Można nieawidzieć komunizmu, ale nie można mu odmówić tej przynajmniej wielkości, że w zastosowaniu swoich podstaw aksjomatycznych okazał konsekwencją, jakich mało mamy w dziejach.

5. Na arenie, na której musi się rozegrać straszliwa walka katolicyzmu z komunizmem, Augustyna ze Spinozą, pełnią rolę pod nogami obojgich jakieś pokraczne istoty „katolickich komunistów” i im podobnych ludzi kompromisu. Dla myśliciela, który potrafi przezwyciężyć pierwszy odruch pogardy, widok to godny bacznego obserwacji. Ten angikański dziekan św. Pawła w Londynie, który chce nam się uczyć od Sovietów „nie tylko materialnego, ale i moralnego postępu”, ten profesor dogmatyki protestanckiej w Oksfordzie, który jest równocześnie prezesem lokalnej kompartii, ci Orlemańscy, których żelazną ręką łamać musi wola biskupa, owi francuscy księżęta wydający w Egipcie pro-bolszewickie katolickie pismo i nawet ta pomniejsza gromada włoska z „Voce Operaia” — stanowią problem godny rozważań i namysłu.

Problem zresztą niemożliwy do teoretycznego rozwiązania: szarzy ludzie, ta nie-filozoficzna szarzyzna myśli, bez pionu i charakteru, bez kręgosłopa. Chwytają strąpy hasel społecznych komunizmu i próbują je wsią w sieć przekonań, gorzej, bo związanych z własną wiarą. Dla myślnie zrozumianych ideałów współpracują w akcji o zdobycie władzy dla Partii.

A kiedy Partia tę władzę posiadzie, zlikwiduje najpierw ich samych, a potem przystąpi do realizacji programu. Usunie z mentalności Europy największą rzecz może, jaką posiadamy — pojęcie godności człowieka. Zniszczy te okrucy chrześcijańskiej etyki, z takim trudem pracą dwóch tysięcy lat wytworzone. Będzie się starała odebrać człowiekowi jego prawa do dóbr duchowych, do przedmiotowej nauki, nie sfalszowanej tendencji politycznej sztuki, do modlitwy i kultu Boga według nakazów sumienia. Europa pójdzie na zawzięcie, na niewolę, na hańbę i duchową śmierć.

6. Czy pójdzie? Osobiście myślę, że nie. A priori trudno jest co prawda przejrzeć plany Oparzonosti i nie ma wielkiego sensu argumentować, że nie tworzyłaby na próżno trzecieścieletniej kultury, aby ją niszczyć w ten sposób. Ale duch Augustyna jest jeszcze mocny wśród nas, nawet u tych, którzy nie wiedzą o tym, że nim rzędzi. Europa nie jest małym krajem, który można zająć bezkarnie i zmienić mu duchowe oblicze. Co innego jest pędzić białym sto milionów półżołtawców, a co innego oparować trzysia milionów wolnych ludzi, w których sercach żyje tradycja Demostenesa i Marka Aurelio, Augustyna i Franciszka z Asyżu, Szekspira i Michała Anioła — a nade wszystko Chrystusa. Europa jest zbyt wielką siłą, aby miała paść i nawet fakt istnienia w niej „katolickich komunistów” tego nie sprawi.

Oczywiście to głębokie i mam nadzieję powszechnie przekonanie o szansach naszego zwycięstwa nie zwalnia nikogo z nas od walki. Jeśli była kiedyś jaka naprawdę wielka i święta sprawa, to jest nią sprawa obrony Europy przed komunizmem. Jeśli było kiedyś moralne uzasadnienie dla poświęcenia zdźrowców, to istnieje ono w tej chwili. Jest rzeczą ogromnej wagi, abyśmy, którzy stanowimy forpoczcie w tej walce, rozumieli to jasno i w pełni.



Fot. Chruściel
Jejcy niemieccy wstępi przez żołnierzy Polskich do niewoli na froncie włoskim

KAZIMIERZ OŹELSKI

POGŁOSKA I ZAPYTANIE

Odbyna się podobno gdzieś w Ameryce, pod jakimś skromnym tytułem, wstępna konferencja przygotowująca zasady przyszłego porządku świata. Biorą w niej udział, oprócz obu mocarstw angloskich, Soviety. Poza tym nikt. Podobno mają do niej wejść: Chiny. Można się obawiać, że chodzi o podanie przez tę trójkę oświadczania, a potem przez zwórkę wszystkim innym narodom, gotowych rozwiązań. Jednym słowem, o dyktat pokojowy. Mniejsza nawet o to, czy dyktat ten będzie odczytany zgromadzonemu na uroczystą konferencję pokojową przedstawicielom innych narodów, czy w ogóle obejdzie się bez tej uroczystości. Zasadę demokratyczną, a raczej jej pozor utrąca fakt, że przedstawiciele krajów angloskich i Sovietów przedstawiają teoretycznie, wolę więcej niż trzeciej części ludności globu (Imperium brytyjskie 523, USA 144, ZSRR 175, razem 842 miliony z 2117 milionów ludzi na ziemi). Chiny ze swoimi 414 milionami, byłoby „językiem u wagi”, przechylającym szalę większości na stronę obradujących podobnie obecnie w Ameryce panów. Ale jak będzie z zasadą samostanowienia, jak z zasadą „nie o nas bez nas”? I czy nie jest to najprostsza droga do wypędzenia pozostałych 960 milionów — w tym całego kontynentu europejskiego

w opozycję? A ile milionów z tej pierwszej większości, z tych Amerykanów, Chińczyków, szczególnie zaś z obywateli ZSRR, różnokolorowych obywateli Imperium Brytyjskiego znajdzie się w opozycji, obok na rodów zmajoryzowanych pomimo swojej woli, co może wbrew swoim prawom. Czy to nowe „Święte Przymierze” długo potrafi ukrywać rzyby rozsądające je od wewnątrz? Co zrobi z nową nieumknięcia chłba „wiosna odów”?

I jest jeszcze jedno zagadnienie blisko obchodzące narody katolickie, najbliższe może nas, Polaków, nawiązywać do walki o wolność Kościoła i szacunek jego praw. Żadne z tych wielkich mocarstw, stanowiących o przyszłych losach świata, nie jest katolikiem, Chiny są niechrześcijańskie, ZSRR antychrześcijańskie. Jak wobec tego w tym nowym świecie i nowym ładzie będzie wyglądał Kościół Katolicki? To wszystkie pytania, na które chciałoby się usłyszeć odpowiedź. I chciałoby się też mieć pewność, że o tych zagadnieniach, a nie tylko o kwestiach produkcji i konsumpcji, pracy i kapitału, surowców i przemysłu, złota i kredytu myślą panowie, zebrani podobno gdzieś w Ameryce, pod jakimś skromnym tytułem, na wstępnej konferencji przygotowującej zasady przyszłego porządku świata.

JAROSŁAW ŻABA

ZE WZGÓRZA 171

W kilkunastu miesiącach pękła linia zwycięstwa wzdłuż drogi. Na zagonach północnego stoku wzgórze 123 pojawiły się czarne cieciska czołgów i zgrabne kariery. Cała gromada, jak czereda potężnych przedpotopowych zwierząt, ugania po wzgórzu.

Wele nie idą najkrótszą drogą na wzgórze 171. Leżące po drugiej stronie szerokiej na około 1 km. głębokości na 70 m dołiny. Jadą ostrożnie, unikając zbyt głębokich wyrw terenowych, krętymi zygawkami, równocześnie manewrując tak, by nie wychylić się ponad falistą linię horyzontu wzgórze, by nie dać się przedrzeć zauważać.

Przed ruszeniem na wzgórze 171 czołgi były dobrze ukryte za szpalerem żywopłotu, lecz gdy ruszyły w kierunku, kurz i błękitny dym z rur wydychowych był niuancą. Teraz niemiecka artyleria okłada miejsce, z którego ruszyły czołgi. Nie bieże dokładnie w to miejsce. Niemiecki obserwator jest najwidoczniej wstrzelany w dom na wzgórzu 169 i tam taduje nawaly ciężkiej artylerii. Tymczasem czołgi idą bardziej w lewo, a w miarę zbliżania się salw niemieckiej artylerii skracają jeszcze silnie, w kierunku doliny Rio delle Grazie, by stamtąd wydrapać się na wzgórze 171 od południa.

Niemiec uparcie bije dookoła domu na szczycie wzgórze. Byłoby gorzej, gdyby był innej systematyczny. Podpalili już słóg siana, rozwalili przybudówek przy domu, zakurzyli całe wzgórze i dalej okłada je nowymi nawalami.

Czołgi zeszały tymczasem na dno doliny i zaczynają się pięć pod linię horyzontu.

Na wzgórze jest już nasza piechota. Wzgórze to zdobyła kompania por. P., lwowskiego baonu.

Z domu na szczycie wzgórze wybiega ku nam podchorąży. Orientuje w sytuacji: — Na szczycie w domu jest moja drużyna. 150 metrów w prawo są jeszcze Niemcy. Mają Spandau'y. Przed chwilą cofnęli się nieco, a teraz wrociliśmy. Tam w prawo warto trochę postzebrać.

Potępa nawala niemieckiej artylerii kładzie się w tej chwili w dolinę, którą przed chwilą przejechały czołgi.

Jeden z karierów odwozi ciężko rannego piechura.

Czołgi ustawiają się rzędem pod samym szczytem wzgórze. Niemiecka artyleria bije coraz bliżej. Przez radio idą do zalog co raz to nowe komendy:

— Karol 1. Karol 2, wsparcie dla piechoty!

— Wykonac Stefan!

— Masz dobre stanowisko, stój, nie wychylaj się więcej.

— Moi chłopcy w lewo od Władysława zauważają szwabskiego lisa. W prawo od lisa studnia. Spójrzaj na mnie. Ja jestem wycelowany.

Czołgi otwary ogień. Zda się, że całe wzgórze, na którym stoimy, płuje ogniem na odległy kilometr stół 189. Powietrze wypełnia grzechot n.k.m. i niestanne salwy dział. Wzgórze 189 pokrywa się rzędem wybuchów, ale uparcie milczy, jak gdyby nie było tam nikogo. Tylko salwy niemieckiej artylerii i moździerzy kładą się już bezpośrednio na naszym wzgórzu.

Wchodzą z podchorążym D. do domu, gdzie odpoczywa teraz część jego drużyny i artylerzysty lwowskiego P.A.L.-u. Opowiadają o przeczytaniu przed godziną niemieckim natarciu:

— Ten domek zdobyliśmy przed dwoma godzinami. Potem nas otoczyli. Musieliśmy się nieco cofnąć. Wyratował nas ten artylerzysta.

„Ten artylerzysta” — por. G. z lwowskiego P.A.L.-u, też był w opatach. Radiotelegrafista przewrócił mu się wraz z radiostacją. W najbardziej krytycznym momencie radio przestało działać. Ale pozostała rakietka. Czerwona rakietka i na wzgórze w ciągu trzech minut położył się umówiony ogień 4 pułków artylerii. Około 200 pocisków.

— Od razu zrobiło się przestronniej na tym wzgórzu.

Radiotelegrafista podsłuchiwał meldunek: — Jednego Tygra zapalili, z drugiego zafosa uciekła. Tygier sio!

Wstrząs wybuchu i przeraźliwy krzyk młodego włoskiego chłopaka wywołuje nas do sąsiedniej przegrrody. W drzwiach stała ojciec chłopaka. Palce prawej ręki oberwane. Ręka okropnie krwawi. Wszedł przed chwilą, by przynieść dzban wody dla dziecka.

Sprostowanie

W wierszu Michała Pawlikowskiego p.t. „Okrył”, zamieszczonym w nrze 26. (116) naszego pisma zostały przez omyłkę przesławione zwrotki: piąta, szósta, siódma i ósma, na miejsce pierwszej, drugiej, trzeciej i czwartej, za co przepraszamy Autora i Czytelników.

Pocisk panc., ten sam, który uderzył w nasz dom nie wyrzucił większych szkód, oberwał mu palec. Podbiega sanitariusz, zakłada opatrunk.

Stojąc na grzbiecie czołgi są w niustannej walce ogniewej, która trwa już ponad godzinę. Na podwórce podchodzi d-ca pułku ppłuk D. Wkrótce pierwszy szwadron ruszy do przodu. Pułkownik każe raz jeszcze skontrolować drogę, czy wolna od min.

Ma to zrobić podchorąży J. ze swą drużyną złożoną z 4 saperów. Podchodzimy do saperkiego kariera. Saperzy wyciągają swei sprząty: zwoje taśmy, żelazne kijki, kotwiczki.

W tym momencie zupełnie bliski wybuch

moździerzyowego pocisku zapęda nas pod karier. Przypadamy do ziemi. W przodzie ktoś krzyczy: ranny, ranny!

Coraz to nowe pociski rwą się w pobliżu. Ranni wołają o pomoc. Leżymy przytuleni do kariera. Chwila ciszy.

— Dobrze, że ba nie urwał! Saperzy szybko opatrują dwou rannych kolegów. Rany okazują się stosunkowo lekkie: w ręce i nogi. Karier odnosi rannych. Na patrol idzie podchorąży z dwoma saperami.

Tymczasem na wzgórze 189 ruszyły już kompanie następnego lwowskiego baonu. Ruszyły czołgi.

Obok nas przechodzi kierowca rozbitego

„NAM STARCZY DUCHA”

(Dokończenie art. ze str. 1.)

skiego, lecz obcego. Są polskimi tylko z imienia.

I wreszcie jest Rosja. Czymż jej postawę osiągnął tym razem szczyły bezwstyd. Stanowisko jej może jednak zdumiewać tylko, którzy, którzy albo żyli zdudzeniem, utrzymując w złudzeniach opinię kraju, albo też stosowali metodę samooszukiwania. My złudzeń nie mieliśmy. Od czasu wydania jeszcze w Iraku przez gen. Władysława Andersa historycznego rozkazu z dnia 4 marca 1943 r. wskazywaliśmy konsekwentnie na konsekwentnie również rozwiną taktykę Rosji wobec Europy, wobec aliantów anglosaskich i wobec Polski. Staraliśmy się otwierać wszystkim oczy naradzając się wielokrotnie na niezrozumienie, przykrości i zarzuty, choć wypadki niestety przynawaly stałe słusność naszej i nie nalwym zaślepieniu, czy też ludzom złej woli, którzy swe szkodliwe rujenia starałi się przyszczyć krajowi wywołując tam najpierw niebezpieczne złudzenia, a obecnie straszliwe rozczarowania.

W audycji radia warszawskiego Armii Krajowej z dnia 24 sierpnia po wyrażeniu wdzięczności lotnikom angielskim, południowo-afrykańskim i polskim za pomoc dostarczoną Warszawę specjaler zapytywał: „Powstałe pytanie, na które nie mamy odpowiedzi. Dlaczego nie mamy pomocy ze strony, która mogłaby ją nam dać z łatwością w dostatecznych ilościach? Dlaczego nie otrzymaliśmy pomocy od armii sowieckich znajdujących się nie dalej jak o niecałe dwadzieścia kilometrów? Dlaczego ani jeden myśliwiec nie wycelował z pobliskich sowieckich lotnisk, aby nas obronić przed gradem bomb rzuconych na nas przez Luftwaffe? Dlaczego sowieckie samoloty nie zrzucały ani jednej bomby na niemieckie bazy Warszawy? Dlaczego Rosianie nie przysłali ani jednego karabinu, ani jednego granatu ręcznego?”

Dlaczego? Ależ drodzy, kochani, najlepsi bracia i koledy! To wszystko było do przewidzenia, to wszystko było jasne dla tych, którzy się nie ludzili i nie ludzą. I dziś nie omyliły się chyba przewidując, że Rosjanie ruszą naprawdę na Warszawę dopiero po krwawym stłumieniu powstania przez Niemców i rozbiciu przez nich polskiej organizacji bojowej. Tym powstaniem, którym pozostaną przy życiu, zagrożono przeciw Rosji z góry sądami sowieckimi. W sprawach Polski jak i w sprawie jej granic obowiązują wszystkie zasady, nad w praktyce układ Ribbentrop - Molotow.

Powstają jednak inne pytania. Czym jest obóz zjednoczonych narodów? Co on wyraża? Jakże są prawa i obowiązki jego członków? Czy dzieli się on na sojuszników posiadających tylko obowiązki i na tych, którzy mają tylko prawa? Czy jedni są obowiązani do udzielania pomocy znajdującym się w polzbie, a inni od pomocy tej są zwolnieni?

Rodzą się dalsze pytania. Jakże właściwie decyzje zapadły na konferencjach w Mo-

skwie i Teheranie w roku zeszym? Czy to, co dzieje się teraz w Polsce i w Warszawie jest zgodne z owymi postanowieniami? Czy W. Brytania i Stany Zjednoczone wiedziały, że tak się stanie? Czy Rosja otrzymała w Polsce wolną rękę? Czy za olbrzymią pomoc udzielaną Rosji przez Anglosasów w sprzeczce, a przez Polskę krwawo nie są Sowietów do niczego zobowiązane? Czy Wielka Brytania i Stany Zjednoczone zgodziły się, by w wyniku tej wojny Polska została górzę potraktowana niż choćby Włochy, którym premier Churchill okazał ostatnio tyle względów udzielając im wskazań, jak winno być urządzane państwo demokratyczne, wskazań diametralnie sprzecznych z tymi, które Rosja zamierza realizować w Polsce i w Europie wschodniej? A zatem czy Polska w oczach Rosji, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych jest równouprawnionym członkiem obozu sojuszniczego, czy też ma by gorzej potraktowana niż Rumunia i Finlandia?

Iż to wymagano od Polski ofiar i opozycji w imię solidarności obozu narodów zjednoczonych. Dziś, gdy solidarność ta winna obrócić się wreszcie na korzyść naszego kraju, okazało się, że solidarność tej nie ma.

Pytania te wysuwają się coraz natarczywiej nie tylko wśród nas Polaków, ale w całej opinii światowej. Pytań tych nie da się stłumić. Dalsze ich wstydliwe przemilczanie do niczego już nie doprowadzi. Warszawa jest krwawą raną nie tylko na ciele Polski, ale obozu narodów sprzymierzonych. W chwili gdy obóz ten dochodzi do zwycięstwa, zadano mu nie w Warszawie, ale pod Warszawą cios, który zwycięstwo gotów zamienić w klęskę.

Rząd polski, który poza apeli o pomoc dla Warszawy nie zajął w tej sprawie żadnego politycznego stanowiska, winien ze swej strony również przerwać milczenie ogłaszając w szczególności wszystkie dostępne mu dokumenty z dziedziny stosunków polsko - sowieckich, a zwłaszcza z zakresu konferencji moskiewskiej i teherańskiej. Prawdy o tych sprawach domaga się kraj, który dziś dopiero w najbardziej tragicznych okolicznościach zaczyna, zdaje się, pojmnawiać istotę naszego położenia. Prawdy domagamy się również my. Czas już, by rzeczywistości spojrzeć prosto w oczy i nie ulać się jej.

„Nam ducha starczy dla nas, I starczy go dla was” — powtarzamy za Warszawą. Tak jest, trzeba nam wielkiego ducha, by udźwignąć ciężar epokowych wydarzeń, które w nas biją, by sprostać zadaniom, których żadne bodaj pokolenie nie miało do rozwiązania, by stanąć na wysokości wymagań czasów obecnych. Metoda łamańców taktycznych, nędznych kompromisów, ubogich wybiegów i chowania głowy w piasek, tak niezgodna ze stylem epoki, kosztowała nas zbyt wiele, by mogła się dłużej utrzymać. Metodę tę potępiła Warszawa swym wierzchem wyzywającym i ostrym jak szpada. A nadszedł już czas, by szpada ciąć wrzody.

Arp.

czołgu. Załoga zdolała szczęśliwie wyskoczyć po drugim pocisku panc., który trafił czołg. Kierowca idzie jak człowiek nawał przystojny. Ogółem już trzy nasze czołgi rozbite.

Do wozu podchodzi młodzieńki, przed chwilą ranny podporucznik. Wóz odwiezie go na p.o. Na razie opatrzył się prowizorycznie sam. Chciał wychylić się z czołgi i oparł rękę na kłapie, by podnieść się. W tym momencie dostał ze Spandau'a serię, która strzaskała mu rękę.

Okazuje się, że Niemcy na wzgórze 189 nie dali się sprokować i nie otwarli ognia, pomimo że w ich stanowiska były działa i karabiny maszynowe ze wszystkich czołgów obu szwadronów. Otwarli ogień Spandau'ów dopiero, gdy podeszła piechota, lub gdy wychylił się ktoś z czołgu jadącego z otwartą kłapą.

Z sąsiedniego wzgórze działa ppanc. wzięły pod ostrzał nasze czołgi, gdy tylko przejechały na położony od strony niemieckiej stół wzgórze 171.

Szwadron kpt. R. poniósł bolesne straty. W sumie 6 czołgów zostało podbitych pociskami ppanc., z tego trzy spalone. Szwadron podbił jeden czołg niemiecki MK. IV, a jeden spalił.

Zemście za straty szwadronu wziął idący na prawym skrzydle inny szwadron, kpt. D. Idąc dalekim zakolem wpadł w sam środek niemieckiego zgrupowania, tak, że Niemcy uciekali w poplochu, pozostawiając jeden stynny Hornet 88 działo 105 mm na czołgu MK. III, które ma załadunek 600 km na liczniku. Oba działa sprowadził szwadron na ich własnej benzynie. Ponadto szwadron zdobył dwa czołgi, dwa rozbite. W tej ciężkiej bitwie szwadron nie poniósł żadnych strat.

Przechodzą do nawpót rozwalonego dużego domostwa, gdzie mieści się dowództwo baonu współdziałającego z czołgami w natarciu. Na parterze w stajni, na narzuconej słomie okryte kocami zwłoki trzech zabitych przed godziną oficerów baonu: d-ca kompani por. Ley, ppor. Jarnuszkiewicz i ppor. Trzeński. Rejon d-twa był szczególnie silnie okładany przez niemiecką artylerię ciężką. Dookoła domostwa padło ponad 50 pocisków. Tu padł też jeden z najlepszych łącznościowców baonu str. Gródka, gdy wyskoczył z ostrzeliwanego domu, by szukać schronienia.

Mjr B. podaje sytuację baonu: W tej chwili jego kompanie są już na wzgórze 189, z wyjątkiem pierwszej, która stanowi odwód. Kompanie przeszczyły doinę pomiędzy 171, a 189 pod bardzo silnym ogniem artylerii i moździerzy.

Pluton ppor. P. dostał się w szczególnie silny ogień, w którym od jednej nawaly padli odznaczni przed kilkunastu dniami Krzyżami Walecznych strz. Trykowski Bruno, strz. Jegorow Safran, oraz kpr. Szulzdra Antoni, strz. Pałuch Józef, strz. Miedzianko Zymunt.

Lwowiacy wybili na wzgórze resztę Niemców, którzy bronili się zaciekłe, a wielu z nich pokurkowały się przed nacierającymi czołgami i czekało nocy, by jej przykryciem uciec do swoich.

Do stajni przyprowadzają dwou jeńców: jeden Polak, drugi twierdzi, że jest Francuzem. W każdym razie pochodzi ze Strasburga. Mówi, że musiał być Volksdeutschem, bo inaczej rodzina jego nie miałaby co jeść. Przed spodziewanym natarciem powiedzieli im oficerowie, że nacierać będą Polacy. Wyrzną wszystkich i tak, więc podawać się nie warto.

Podający się za Polaka mówi po polsku poprawnie, ale powoli, z namysłem. Jest z Opola. Kieszienko jego wkrótce okazują się zbyt szczupłe, by pomieścić wpychane w nie przez lwowiaków papierosy, czekoladę.

— Przecież jest z Opola, a gada po polsku jak stary!

Pomiędzy stojące na wzgórze czołgi podchodzi pułk B., jak zwykle obchodzący piezo plac boju swych czołgów. Orientuje się w sytuacji u dowódy pułku.

— Na 189 są już dwa szwadrony czołgów. Z lewa ciągnie niebezpieczny niemiecki o-rodny panc. W sumie na przeszkodaх terenowych i od ognia ppanc unieruchomionych 8 czołgów.

Pułk B. podaje decyzję: Na ten kierunek wejdzie teraz cała broń pancerna.

Zdobyte przez lwowiaków i czołgi wzgórze 171, 186, 189 wyrzynają się głębokim kilem w niemieckie pozycje. Jest to najbardziej na północny - zachód wysunięta pozycja 2. Korpusu. A już tymczasem od południa, z rad rzeki Cesano, naciera piechota Wileńskiej.

Ofiara

Zamiast kwiatów na trumnę ś.p. strz. Antoniego Żuka członkowie Redakcji „Orła Białego” składają za pośrednictwem Polskiej Czerwonego Krzyża 2000 lirów na pomoc dla ludności Warszawy.



ANTONI ŻUK

Starszy strzelec Oddziału Prop. i Kult. A. P. W.
Zecer Ciężkiej Drukarni Polowej

zmarł na posterunku 27 sierpnia 1944 r.

CURZIO MALAPARTE

SZCZURY (IV)

(Dalszy ciąg)

„Nowoczesna technika — odparował Waechter — nie znosi wtrącania się obcych elementów do zagadnień pracy i produkcji. Patriotyzm zaś robotniczy jest spośród elementów obcych zagadnieniom produkcji, szczególnie niebezpiecznym”.

„Tak, niewątpliwie — powiedział Frank — ale trzeba pamiętać, że patriotyzm robotników bardzo się różni od patriotyzmu szlachty i mieszczaństwa”.

„Ojczyzna robotnika jest maszyna i fabryka”, wtrącił po cichu Człowiek Himmlera.

„To jest myśl komunistyczna — rzekł Frank — zdaje mi się, że formuła Lenina. Ale w gruncie rzeczy mówi ona prawdę. Robotnik polski jest dobrym patriotą, kocha swój kraj, ale wie, że najlepszym uratowaniem Polski jest praca dla nas. Zdaje sobie dobrze sprawę, że gdyby nie chciał dla nas pracować — dorzucił spoglądając na Człowieka Himmlera — gdyby się opierał...”

„My wiemy dużo rzeczy — powiedział Człowiek Himmlera — ale polski robotnik o nich nie wie, albo nie chce wiedzieć”. „Ja sam wolabym ich nie wiedzieć”, dodał z nieśmiałym uśmiechem.

„Jeżeli chcesz wygrać wojnę — mówię — nie możesz zniszczyć ojczyzny robotnika. Nie możesz zniszczyć maszyn, fabryk, przemysłu. Zagadnienie jest nie tylko polskie, ale europejskie. Podobnie we wszystkich innych krajach Europy, przez was zajłych, możecie zniszczyć ojczyznę szlachty, ojczyznę mieszczaństwa, ale nie ojczyznę robotników. Wydaje mi się, że cały sens wojny na tym polega, albo w największej części”.

„Chłopi”, rzucił Człowiek Himmlera.

„Jeśli trzeba — odrzekł Frank — zgnieciemy robotników ciężarem chłopów”.

„I przegracie wojnę”.

„Herr Malaparte ma rację — zgodził się Człowiek Himmlera — przegramy wojnę. Trzeba, żeby polscy robotnicy nas kochali. Musimy sprawić, żeby nas naród polski pokochał”. Mówiąc to patrzył na mnie z uśmiechem, potem umilkł i odwrócił się do ognia.

„Polacy nas w końcu pokochają — powiedział Frank — są narodem romantycznym. Jutro nową formą polskiego romantyzmu będzie miłość ku Niemcom”.

„Tymczasem jednak — zauważył baron Wolszger — romantyzm polski... Istnieje wieśkie przysłowie, które dosyć dobrze maluje naszą sytuację wobec narodu polskiego: „Ich liebe dich, und du schlaefst, ja cie kocham, a ty śpisz”.

„Oh ui — powtórzyła Frau Waechter — je t'aime et tu dors. Tres amusant, n'est-ce pas?”

„Ja, so amusant!” przytaknęła Frau Brigitte Frank.

„Lud polski z pewnością w końcu nas pokocha — rzekł Waechter — teraz jednak śpi”.

„Sądzę, że raczej tylko udaje, że śpi — powiedział Frank — w głębi o niczym innym nie myśli, poza tym, żeby pozwolić sobie kochać. Sądzi się każdy naród po jego kobietach”.

„Polskie kobiety — zapytała Frau Brigitte Frank — słyną z piękności i elegancji. Est-ce que vous les trouvez tellement jolies?”

„Ja je uważam za godne podziwu — odparłem, i to nie tylko za ich elegancję i piękność”.

„Mnie nie wydają się wcale tak piękne, jak się mówi — ciągnęła Frau Brigitte Frank — piękność niemiecka jest bardziej surowa, bardziej autentyczna, bardziej klasyczna”.

„Il y en a pourtant qui sont tres jolies et tres elegantes”, powiedział Frau Waechter.

„W Wiedniu, za dobrych czasów — dorzucił baron Wolszger — uchodzily nawiąże do elegancje na Paryżanki”.

„Ah, les Parisiennes!” zawola Frank.

„Est-ce qu'il y a encore des Parisiennes?” spytała Frau Waechter skłaniając wzdłuż głowy na ramie.

„Co do mnie, znajduję, że elegancja Polek jest straszliwie prowincjonalna i staromodna — rzekła Frau Brigitte Frank — i nie winna temu wyjątkowo wojna. Niemcy

*) Ach tak, ja cie kocham, a ty śpisz. Bardzo zabawne, prawda?

**) Czy uważa je pan rzeczywiście za tak piękne?

***) Są jednak wśród nich bardzo piękne i bardzo elegancjki.

****) Ach, paryżanki!

****) Czy paryżanki jeszcze istnieją?

również prowadzą wojnę od dwóch i pół roku, a przecież kobiety niemieckie są dzisiaj najelegantsze w Europie”.

„Il parait — wtrąciła Frau Gassner — que les femmes polonaises ne se lavent pas beaucoup”.

„Oh, oui, elles sont terriblement sales”, ***) powiedziała Frau Brigitte Frank strzepując swój aksumitny dzwon, który zadźwięczał dźwięko, zielono, poprzez pokój.

„To nie ich wina — bronił baron Wolszger — nie mają wcale mydła”.

„Wkrótce nie będą mogły znaleźć żadnego pretekstu — powiedział Frank. — Ostatnio wynaleziono w Niemczech sposób wyrobu mydła z surowca, który nie kosztuje jej nic i którego jest pod dostatkiem. Zamówiłem już nawet dużą jego ilość dla rozdania polskim paniom, żeby się mogły myć. Jest to mydło, zrobione z kału”.

„Z kału?” wykrzyknęłam.

„Tak, oczywiście, z kału ludzkiego” — odpowiedział Frank.

„I dobre jest to mydło?”

„Doskonale — zapewnił Frank — próbowałem się nim głowę i byłem zachwycony”.

„I dobrze się pieni?”

„Pieni się cudownie. Goli się nim doskonale. Mydło godne Króla”.

„God shavo the King!” ***) zawolałem.

„Tyłko, że...” dorzucił niemiecki Król Polski.

„Tyłko, że...” podchwyciłem, wstrzymując oddech.

„Posiada jedną wadę: zapach i kolor pozostały te same”.

Słowa jego przyjął wybuch śmiechu; „Ach sol ach sol wunderbar!” krzyknęli wszyscy razem. I zobaczyłem, jak tza rozkosz spływała po policzku Frau Brigitte Frank, die deutsche Koenigin von Polen.

V. Miasta zakazane

Przyjechałem do Warszawy samochodem z Radomia, poprzez niezmiernie równiny polskie, pokryte śniegiem. Przy pierwszym zelektrycznym do stolicy nędzne przedmieścia, zburzone przez bombardowania, Marszałkowska pomiędzy szkieleciami pałaców, szczerzalniami od pożarów, ruiny stacji kolejowej, czarne dno, ukazują się puste wnętrza, którym sine światło wieczoru nadaowało jeszcze jaskrawego charakteru, stały się niemal że miłym wycozczeniem dla oka, opuszczonego blaskiem śniegu.

Na opuszczonej ulicach rzadki przechodzień przemykał się wzdłuż muru, na skrzyżowaniach stały patroli niemieckie z karabinami maszynowymi w pogotowiu. Plac Saski wydał mi się olbrzymi, upiorny. Podniosłem oczy ku pierwszemu piętru hotelu Europejskiego i szukałem okna apartamentu, który zajmowałem przez dwa lata, w 1919 i 1920 r., jako młody urzędnik włoskiego poselstwa. Okno było oświetlone. Zatrzymałem się na podwórzu pałacu Bruchla, minąłem przedsiennik i postawiłem nogę na pierwszym stopniu wielkich schodów.

Niemiecki gubernator Warszawy, Fischer, zaprosił mnie tego wieczoru na obiad, wydana na cześć Generalgouverneur'a, Frau Brigitte Frank oraz kilku głównych współpracowników Generalgouverneur'a. Pałac Bruchla, w swoim czasie siedziba Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej, obecnie zaś gubernatorstwa niemieckiego Warszawy, wznosił się, nie tknięty, o dwa kroki od ruin hotelu Angielskiego, w którym Napoleon zatrzymał się był podczas swego pobytu w Warszawie. Jedna tylko bomba zwała sklepienie klatki schodowej oraz wewnątrz trzęsło krzączką, prowadzącego do apartamentów prywatnych dawnego ministra spraw zagranicznych Rzeczypospolitej, pułkownika Becka, obecnie zajętych przez Fischera. Postawiłem nogę na pierwszym stopniu i idąc podniosłem oczy.

Na szczycie schodów, biegnących łagodnie podługojno rzędo cieniok, gładkich kolumn, pokrytych białym stukiem, bez cokołu, ani kapitelu, o klasycyzmie nowoczesnym, chudym i gwałtownym, ukazały mi się, jaskrawo oświetlone od dołu, jakby światłem ramy scenicznej, lampami, roznieconymi pomiędzy kolumnami wzdłuż schodów, dwa masywne posągi z mięsa, grzące zwałami się na mnie, w miarę, że

*) Wydaje się, że kobiety polskie nie myją się często.

**) Ach tak, one są strasznie brudne.

***) Boże, ogol kroła.

jak wchodziłem wolno po stopniach z różowego marmuru. Owinięta w złotą lamę o fałdach prostych i głębokich, podobnych do żłobik kolumny, Frau Fischer wznosiła się uroczyście, mając nad czołem cały pałac blond włosów o refleksach miedzi, uczesanych dziwnie i sprawiających wrażenie bogatego kapitelu korynckiego, nałożonego na kolumnę dorycką. Z pod sukni wystawały dwie olbrzymie stopy, dwie nogi okrągłe, o grubych łydkach, którym ślimczy szary jedwab pończoch nadawał odcień tła. Ramiona jej nie były opuszczone. Wstała z boków, lecz twarodo wyciągnięte, jak gdyby zmęczone wielkim ciężarem. Obok niej wznosił się pomnik gubernatora Fischera: tułsy, herkulesowy, ścięnięty w czarnym stroju wieczorowym, berlińskiego kroju, o zakrzątkich rękawach. Głowę miał małą, okrągłą, twarz różową i obrzękłą.

Oczy wypukłe i powieki zaczerwienione. Od czasu do czasu, może po to, żeby oszukać swoją nieśmiałość, zwolna oblatywał sobie wargi. Oparty na szeroko rozstawionych nogach, ramiona miał sztywno spuszczone, odumięte nieco od boków, oraz wielkie pięści, zamknięte, niczym posąg zapasnika. I dzięki złudzeniu perspektywy obie te masywne figury wydawały mi się, kiedy wolno wstępowałem po schodach, odchyłone w tył, jak posłgi na fotografii wziętej z dołu; ręce, stopy i nogi, jak to właśnie wychodzi na zdjęciu, budziły wrażenie ogromnych, nieproporcjonalnych do reszty osoby, niesamowicie wydłużonych i zniekształconych. I co stopień wstawało we mnie owo uczucie niewyrażalnej obawy, jakie nawiedza mnie zawsze w teatrze, ilekroć siedzę w pierwszych rzędach i widzę śpiewaka, który podchodzi do rampy, otwiera łuz nade mną usta i podnosi ramię, żeby rozpocząć jakąś arię. W tej chwili, oba masywne posągi z mięsa podniosły równocześnie prawe ramie i razem zwały się głośno: „Heil Hitler!”

I właśnie w tejże samej chwili gubernator Fischer i Frau Fischer rozpylnili się przed moimi oczami w zimnym, niebieskim świetle lamp. Na ich miejscu pojawiły się dwa długie, wysokie cienie pani Beckowej i pułkownika Becka. Pani Beckowa się uśmiechała, pochylona nieco naprzód, żeby mi podać rękę, jak gdyby chciała mi pomóc w wejściu na ostatnie stopnie, pułkownik Beck zaś, długi, chudy, o małej głowie ptaka, skłaniał się z suchą elegancją angielską, zginając w sposób ledwie dostrzegalny lewe kolano. Wyglądali, jak dwa wyhlakite wizerunki, oddalone w czasie i pamięci, a przecież było to zaledwie wczoraj...”

Padł śnieg. Z tłumu padało od czasu do czasu jakieś spojrzenie żywe pośród tysięcy spojrzeń zagastych i śledziło z pamięcią nienawści i rozpaczy niemieckiego żołnierza o podkutyh butach, który przechodził ulicę. Przed Bristolem i Europejskim, przed kłami na Nowym Świecie i kulo św. Krzyża, gdzie strzeczane jest w urnie serce Szopena, gdzie gruzami Marszałkowskiej i Krakowskiego Przedmieścia, przed wylubymi wystawiami Wedla i Fuchsa, grupy kobiet zamieniały między sobą zmęczone spojrzenia i ukradkowe znaki głową; gromadki dzieci, które biegaly, ślizgając się po lodzie, zatrzymywały się, żeby patrzeć na oficerów i żołnierzy niemieckich w ciagłym ruchu tam i z powrotem, na podwórzu pałacu Potockich, siedziby Komendantur. Do koła wielkich ogni, rozpalonych na placach, ciche rzesze mężczyzn i kobiet wyciągały ręce ku płomieniom...

Przy stole gubernatora Fischera, w apartamentach pułkownika Becka, spotkałem obek Generalgouverneur'a Franka i Frau Brigitte Frank, cały niemal dwór z krakowskiego Wawelcu: byli więc Frau Waechter, Kati, Emil Gassner, baron Wolszger, oraz Człowiek Himmlera; pośród nich ledwie że zauwżyłem trzech lub czterech współpracowników Fischera. szarych, nie rzucających się w oczy.

„O to znowu zebrałmy się wszyscy razem”, odezwał się Frank zwracając się ku mnie z życzliwym uśmiechem. Po czym do rzucił słynne powiedzenie Lutra: „Hier steht ich, ich kann nicht anders.” *)

„Aber ich kann stets anders. Gott helfe mir!” **) odparłem.

Gdyby śmiech przyjął moje słowa, i Frau Fischer, zbita z tropu owa niezwykająca dla niej „uwertura biesiadnej rozmowy”, też się wyraził Frank w wyszukany języku, jakim zaczynał rozmowy przy stole,

*) Przy tym stoję, nie mogę inaczej.

**) Ale ja mogę ciągle inaczej, z pomocą

Boską.

uśmiechnęła się do mnie, otworzyła usta, żeby mówić, zacerwieńiała się i obiegły spojrzeniem swoich zaproszonych, ograniczyła się do: „Guten Appetit!”

Frau Fischer była młodą i kwitnącą kobietą, o wyglądzie głupim i łagodnym. Musiała być, sądząc ze sposobu, w jaki spoglądali na nią mężczyźni, piękna; i poza jej pospolitością, widzialną jedynie dla oka nie niemieckiego, musiała być z pewnością kobietą delikatną. Włosy, które miała złote i gładkie, z refleksami miedzianymi, świadczyły o pracy gorącego żelazka, wyciągniętych w długich lokach, zbranych na czole niezłym pełne włosy Meduzy i fryzjerką, żeby je podtrzymała, dała im podścielkę z wosa ludzkiego, koloru ciemniejszego od prawdziwych włosów. Uśmiechała się, oniesmiecona, oparłszy o brzeg stołu dziecinny gestem białe, tuste ramiona, milcząca odpowiadając jedynie łagodnym „ja”, ilekroć ktoś się do niej zwracał. Frau Brigitte Frank i Frau Waechter, które na początku obiadu przglądaly się jej z natrętną i ironiczną żłośliwością, przestały na nią patrzeć i skierowały całą uwagę na potrawę i na rozmowę, jaką Generalgouverneur Frank prowadził ze zwykłą sobie zarumianiałą elokwencją. Frau Fischer przystychiała mu się w milczeniu, wpatrując się wach, oczarowana, wielkim; oczami łalki i obudziła się dopiero, kiedy się na stole ukazała pieczeń z jelenia. Gubernator Fischer opowiadał, jak to on osobiście zabił jelenia kuł i między oczy. Frau Fischer zaś rzekła z westchnieniem: „So ist das Leben, tak jest w życiu”.

Obiad ten, jak powiedział Frank, poświęcony łowczyńi Dianie: przy tych słowach skłonił się z uśmiechem Frau Fischer. Najpierw pojawiły się na stole bażanty, potem zające, w końcu jeleń; i rozmowa, mająca początkowo za temat Dianę i jej leśne amory, łowy, opiewane przez Homera i Wirgiusza, malowane przez średniowiecznych malarzy niemieckich, albo przedstawiane w wierszach włoskich poetów renesansu, przeszła na polowania w Polsce, na rezerwy zwierzyzny u polskich panów, na sfony psów wołyńskich i na zagadnienie, jakie nagonki są najlepsze: niemieckie, polskie, czy też węgierskie. Później stopniowo, i jak to zawsze, zesłała na temat Polski i Polaków, żeby wrzeszcze, jak zawsze, zakończyć się na Zydach.

W żadnej części Europy Niemiec nie ukazał mi się tak nagły, tak odkryty, jak w Polsce. W ciągu mego długiego doświadczenia wojennego przekonywałem się stale, że Niemiec nie zna strachu przed człowiekiem silnym, człowiekiem uzbrojonym. który go atakuje z odwagą i stawia mu opór. Niemiec boi się bezbronznych, słabych i chorych. Temat „strachu”, okrucieństwa niemieckiego jako wyniku strachu, stał się podstawowym tematem mego doświadczenia. Kto rozpatruje rzecz ze zrozumieniem nowoczesnym i chrześcijańskim, tego ów „strach” pobudza do litości i grozy — we mnie nigdy on nie poruszył podobnej grozy i litości, jak właśnie w Polsce, gdzie mi się ukazał w całej swej rozciągłości skądinąd chorobliwy, kobiecy, gęsty natury. Tym, co pobudza Niemca do okrucieństwa, do aktów najzimniej, najmetodyczniej, najbardziej naukowo okrutnych, zawsze jest strach. Strach przed uciążliwymi, przed bezbronznymi, słabymi, chorymi, strach przed starcami, kobietami, dziećmi, strach przed Zydami. I chociaż Niemiec stara się ukryć ów „strach” tajemniczo, nieuchronnie musi o nim mówić, i to mówie w chwilkach najmniej ku temu odpowiednich, a zwłaszcza przy stole. Tutaj bowiem, czy to pod wpływem ciepła, wytworzonego przez potrawę i wino, czy też wiary w siebie, jaką mu daje pewność, że nie jest sam, czy wrzeszcze dzięki podświadomej potrzebie dowiedzenia samemu sobie, że się nie boi, Niemiec się obnaża, zaczyna mówić o głodzie, rozstrzelaniach, rzekach, z chorobliwym upodobaniem, które zdradza nie tylko urazę, rozczarowanie miłości, zadróżd i nienawiść, ale i zadziwiający szal potłosci. Niemiec odczuwa bowiem tajemniczą szlachetność ucieszonych, chorych, słabych, bezbronznych, starców, kobiet, dzieci, zadróżdki i jej lęka się, więcej może, niż jakikolwiek inny naród w Europie. I za to szuka zemsty. Istnieje pewien rodzaj umyślnie szukanego upokorzenia w argancji i brutalności Niemca, głęboka potrzeba oczernienia samego siebie w nieubagany okrucieństwie, zaś upodlenia się w jego tajemniczym „strachu”.

Słuchałem słów przy stole z litością i erzą, które daremnie usiłowalem zatrzeć, kiedy Frank zauważywszy moje zmieszanie, i może żeby kazać mi wziąć udział w jego własnym, chorobliwym uczuciu upokorzenia, zwrócił się ku mnie z ironicznym uśmiechem i zapytał: „Czy widział Pan już ghetto, mein lieber Malaparte?”

(Dalszy ciąg nastąpi.)

EDWARD KURHANOWSKI

O TAJNYCH ARCHIWACH WATYKANU

Na wojnie nie tylko Pan Bóg kule nosi, ale i ludzi. Jednych przez obozy i tajgi, aż na Kamezadkę, przez Jordana, mimo Piramid, każąc po drodze nosić białe po śniegu i sypać szańce z piasku. Innych inaczej. Znam takiego, którego na cztery lata zamknięto w oficynie jednego z najwspanialszych pałaców świata, w pełnym egzotyce muzeum i cudownych galerii obrazów. Niedługo miał tego dość, choć kamiono go wcale, wcale nieźle. Wziął w najciemniejszy, tajny kąt i jak szczer przez cztery lata grzebał w stęchłych pergaminach i brudnych papierach. Mówili, że dziwak. Przynął się potem, że szukał tam śladu jedynej ziemskiej rzeczy, o którą naprawdę mu chodzi — Polski.

Rozczarujmy naprzód amatorów tajemniczości: „Tajne Archiwum Watykanu” od wielu dziesiątek lat przestało być tajemnicą. Leon XIII pozwolił zeń korzystać wszystkim. Dziś ma do niego dostęp — poza okresami wakacyjnymi — każdy, kto napisze do kardynała Mercati, najmilszego ze starych, profesorskich typów uczonego (nawiasem, członka Akademii Krakowskiej) podanie na formularzu. Musi też przedstawić rekomendację, dającą rękojmę, że nie będzie starych szpargałów rwał, ani zlewał atramentem, nie będzie na nich robił własnych notatek, że nie będzie wycinał pieczęci, krałł, palił — nawet papierosów. I wówczas stoją przed nim otworem „tajne” archiwum prawników aż po elekcję Piusa IX (1846). Jest stała mowa, że niedługo otwarty zostanie dział Leona XIII, aż po zgon tego papieża tzn. po pierwsze lata naszego wspaniałego XX w.

Wchodzi się do Archiwum z podwórca zwanego Cortile del Belvedere. Bramante kiedyś stworzył to podwórce budując dla Juliusza II dwa skrzydła, biegające równoległe od dawnego pałacu papieża, przystolonego do Bazyliki, aż do odległej o jakie trzy ćwierć kilometra willi Innocentego VIII; nad tą willą umieścił loggię z widokiem na dolinę Tybru, aż po Soracte, góry Sabińskiej i Albańskie — pierwszy „Belvedere” na świecie. Potem Sykstus V — niech mu Bóg wybaczy — rozdzielił to olbrzymie podwórce poprzeczną budowlą (w której mieściły się biblioteki i stajnie). Właśnie przez tę dawną stajnię wchodzi się dziś do Archiwum.

Dociera się wreszcie do dużej, wysoko sklepionej, jasnej sali. Przy wąskich stołach z pulpitemi siedzą tu w ciszy ludzie — paru świeckich, księża, zakonnicy, zastopieni w czytaniu papierów. Na ozdobnej katedrze, otoczony ksiązkami i papierami, siedzi starszy sędziwy ksiądz Angelo Mercati, brat kardynała, prefekt archiwum. W głębi szeroka lada sklepowa, za nią wózek. Krótka rozmowa z Prefektem, wizyta z nim razem w sali katalogów — notatka w książce woznego i po chwili ma się przed sobą jakiś tom rękopisów lub tek. Trafiał tylko się może zdarzyć, że się znajdzie coś dla czegoś wymyślnego czy wymarzonego raczej tematu. Kto ma cierpliwość, wróci. I przez kilka miesięcy przynajmniej będzie uszczuplać orientować się w tym ogromnym zbiorze przeróżnych papierów i pergaminów, jakim jest Archiwum Watykańskie.

Zbiorzanie ogromny. Liczyć go można mniej więcej na „objekty” archiwalne — tzn. na poszczególne, materialnie nierozdzielne przedmioty; (są one nierówniej objętości, obiektem jest zarówno luźna kartka, jak gruby tom czy teka); takich to obiektów, mniej lub więcej dokładnie skatalogowanych, należy się do 170 tys. Ale do nich dodac trzeba jeszcze bardzo dużą ilość obiektów nie spisanych, nie skatalogowanych, nieleżących nie kniętych. I tu właśnie jest pole dla amatorów tajemniczości; nikt nie wie, co jeszcze znaleźć się może w tych nie zbadanych działach archiwum; może gdzieś w jakiejś zapomnianej szafce, która według spisu zawiera ma tylko jakieś nieciekawe rachunki i kontrakty, znajdzie się jeszcze archiwum Karola Wielkiego — czy Harun Al Raszida? Mało jest na to prawdopodobieństwa, bo monsignor Mercati każdy chyba tom, każdą tekę miał kiedyś choć przez chwilę w ręku. Ale gdyby chciał choć tylko jeden dzień na każdy obiekt poświęcić, to musiałby pracować po dziesięć godzin dziennie, czyż wtedy i pół wieku; a jeżeli są małe obiekty, których kilka dziennie przejrzeć można, to jest znacznie więcej takich, dla skontrolowania których tygodni, lub nawet miesięcy trzeba. Dlatego też jest tyle katalogów przestarzałych, kilka wicków temu sporządzonych, dlatego tyle działów nie skatalogowanych.

Dlatego również tak trudno jest w całości archiwum się zorientować. Trzeba się zgodzić z tym, że jak wszystko w Kurii Rzymskiej, tak i archiwum papieskie ułożone jest nie według jakiegoś kryterium logicznego, ale nawarstwione historycznie napłyniętymi przez wieki pokładami.

Archiwum papieży musiało istnieć od początku istnienia samego papieństwa, od świętego Piotra. Linusa, Kleta. Pozytywne wiadomości o istnieniu zbiorów dokumentów mamy z czwartego wieku. Ale myśliły się, kto by tych odległych aktów w obecnym archiwum chciał szukać. Zaginęły one wśród zawieruchy wieków. Trzon obecnego archiwum stanowi „Archiwum tajne właściwe”. „Archiwio Segreto pro-privante delto”. Jest to dziś obszerna kolekcja, podzielona na 74 „szafy” — „armaria” i liczące z górą cztery tysiące to-
mów. Jądrym zaś tego trzonu jest 18 „szaf”

mu, jest też przyczyną trudności zorientowania się w katalogach: każda seria, każde „fondo”, ma swoje własne katalogi, z różnych epok, według różnych metod zestawione. Niektóre nie mają ich wcale, tom pod tytułem „Indice generale degli indici” („ogólny wykaz skorowidzów”) słabą tylko daje możliwość zorientowania się w katalogach. Trzeba mozolnie przysiedzieć faldów i starać się coś wyciągnąć z licznych drukowanych opisów archiwum (ostatnią wydaną na ten temat pracą jest praca Finkla „Das Vatikanische Archiv”, Rom 1943; ukoże się w krótkie ks. Meyszłowicza „Archivi Segreti Vaticani; Prospectiva Descriptiva”).

Można by tomy pisać o dziejach archiwum, o niepoważowanych szczerbach, jakie w nim wyrwały wojny średniowieczne, „Sacco di Roma” przez Niemców w XVI wieku, wywiezienie do Paryża w epoce na-

zrobiono. Studia polskie w nim sięgają XVI wieku. Batory chciał mieć odpisy aktów dotyczących Polski. Z rozkazu Serlutusa pracowali nad tym bracia Ranaldi. Najazdy szwedzkie kres temu położyły.

Stanisław August dopiero wysłał do Watykanu Albertrandiego. Jego teki dotąd były bogatym źródłem do dziejów. Rozbiory to przerwały.

Po powstaniu listopadowym Aleksander Przędzicki korzystał z usług Theinera, by wiele polskich aktów z Archiwum Watykańskiego wydobyć. Ostatni tom wyszedł w 1864 roku.

Wielkie studia przed pierwszą wojną prowadziła Akademia Krakowska; rozpoczyna je Smolka około 1886 roku. „Ekspedycja rzymska Akademii” wydała szereg aktów nuncejuszy, zebrała ogromny materiał. Przyszła wojna...

Okres 1918-1939 zaznaczył się w studiach pracami przygotowawczymi, zakrojonymi na wielką skalę. Z inicjatywy i w głównej części z prywatnych zbiorów hr. Józefa Michałowskiego powstała „Biblioteka Rzymska Polskiej Akademii Umiejętności” bezcenny księgozbiór dla krytyków polskich badających Archiwum Watykańskie. Przyjeżdżali stypendyści. Przyszła wojna...

Mimo, że prace te tak nieszczęśliwie były przerywane, wydano i opracowano wiele spraw polskich w Archiwum Watykańskim. Nieduża broszura, ostatnio temu tematowi poświęcona, a mająca za zadanie inwentarz dotychczasowych badań polskich nad Archiwum Watykańskim, wliczyła 135 pozycji bibliograficznych. A autor sam już mówi, że nie jest to spis kompletny, że po wydaniu broszury jeszcze nieznaną mu przedtem wydawnictwa znalazł. (Broszura p.t. „Repertorium bibliographicum per rebus Polonicis Archivi Segreti Vaticani” wyszła w Watykanie, w 1943 r. — jako IX zeszyt wileńskich „Studiów Teologicznych”).

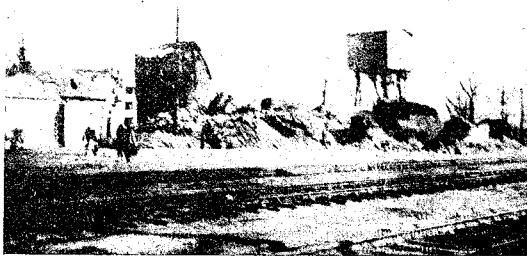
Mimo tej całej dotąd dokonanej pracy daleko jest jeszcze bardzo do wyczerpania, choćby w drobnej części, wiadomości o Polsce z Archiwum Watykańskiego. Jest ich moc nieprzebrana. Słusznie ktoś mówił, że dziś — po tej wojnie — Archiwum Watykańskie będzie największym archiwum polskim. Głównymi kopalniami wiadomości polskich są dwa działy: „Nunziatura di Polonia” — tj. zbiór aktów sekcji polskiej Sekretariatu Stanu od szesnastego wieku i „Archivio della Nunziatura di Varsavia” — czyli archiwum nuncjatury w Polsce, odwiezione do Rzymu. Dwa te działy dopełniają się wzajemnie. Ale i poza nimi ma prawie działu archiwum, które by jakiejś polskiej sprawy się nie zawierały; tak jak prawie nie ma emnartarza, gdzie by jakieś polskie nie leżały kości.

Minie wojna. Wróć do studiów w Watykanie ci, co „nad dziwnym losem zadumani biednej naszej ojczyzny” zechcą istotnie bliżej poznać, jakimi szlakami szły dzieje polskiego narodu. I znowu poprowadzą mozolnie pląg studiów przez to ogromne pole, co chwila „trącając kości żelazem oracza”. Przypomni im się może Wirgiliuszowe „exoriet aliquis”. A na pewno „kości spod ich stopy w olbrzymie kształty zbiegają się i zrosną” i może pomogą im zrozumieć niepozbytą wielkość najniebezpieczniejszego i największego w nie, szczęściu narodu.

A tym, którzy dziś mogą tam zajrzeć, każda teka, każdy tom daje okazję go głębokich przemyśleń. Oto np. pierwszy z brzegu wolumen „Nunz. Vars. 170” — „Ekspedycja”, czyli dziennik akt wychodzących.

1652 - 1655: czasy potopu szwedzkiego. Codzienne, bieżące sprawy, datowane z Warszawy, z Krakowa — a potem „po opuszczeniu Krakowa”, z Głogowa, — z Krośna, z Łańcuta — bo przecież nuncejus towarzyszył królowi w odwrocie na Spiz, Mignęło gdzieś nazwisko ojca Augustyna Kordeckiego, Paulina... A potem uwaga na te: Deus mirabilis! Lubowia — jakiś przywyłał do Jana Skrzetuskiego — a potem znowu Kraków! Częstochowa! Warszawa!

Czasowi się mgłą okulary. Zamknijmy księgę. — Co to, owies na stole przed pulpitem? Pewnie był przeznaczony dla koni, które ciągnęły kolebę nuncejusa. Przy ziarnkach owa cieniułka warstewka piasku. Posypywał nim nuncejus niezadowolony jeszcze atramentem. Zbieramy go skrzętnie. Może się przyda. To z Wisły piasek... I znowu te okulary...



Stacja kolejowa zburzona przez oddział Polskiej Armii Krajowej

zwanym „Regata Vaticana”: te 2020 to-
mów, to są rejestry — czyli zapisy przed ekspedycją — aktów, wydawanych przez papieży począwszy od 827 roku; masa tych rejestrów zaginęła, tak że o ciągłości — i to względnej — można mówić dopiero od Innocentego III (1198 - 1216). Jest to nieskończona kopalnica dla dziejów papieństwa; jest to również najbardziej znana, najbardziej wydeptana część całego archiwum.

— Do „Rejestrów Watykańskich” doszły z biegiem czasu inne działy: korespondencja, rachunki, sprawy lenn i inne, które wypełniają pozostałych 56 „szaf” „Archiwum Tajnego Władców”.

Abysus abyssum invocet — jak kula śnieżna rośnie archiwum. Do „Archiwum Tajnego Władców” dołączają się wkrótce akty „Kamery Apostolskiej”, która przez całe średniowiecze była najważniejszym centralnym urzędem Kurii — coś tak jak obecnie Sekretariat Stanu.

Już w XVIII w. zwalono w jeden dział akta, które do Watykanu jakoś trafiły, a do żadnego z istniejących działów wciągnąć się nie dały: powstały „Miscellanea”. Duszyły rejestry papieży, którzy rezydowali w Awinionie, i tam swoje akta notowali; doszły akta Datarii; w szesnastym wieku powstał, a właściwie zastąpił „Kamerę” — Sekretariat Stanu; ogromny zbiór jego aktów — ponad 36 tysięcy to-
mów — jest niewyczerpanym źródłem do dziejów kościoła i świata w okresie nowszej historii. Wpłynęły akta sekretariatu Brewów a jeszcze poza tym wpływały coraz to nowe działy, coraz to nowe kolekcje i archiwum różnych urzędów kurialnych, kongregacji, trybunałów; archiwum różnych zakonów, zbory akt poszczególnych rodów; zbory prywatne; wreszcie wpłynęło ogromne, najtajniejsze archiwum papieży, które aż do najazdu napoleońskiego było przechowywane w zamku św. Anioła — ponad 8 tysięcy obiektów od IV po XIX wiek: tzw. Archiwio Sant'Angelo. Widać już z tego, że o jakiejkolwiek jedności „Archiwum Tajnego Watykańskiego” nie może być mowy. Należy raczej mówić o „Archiwach watykańskich” w liczbie mnogiej: tych oddzielnych archiwów noszących nazwy „fondów”, czy też „serii”, których jedność stanowi prawie tylko fakt, że są ulokowane w jednym gmachu i mają wspólny zarząd, jest blisko 240. Tyle ich naliczono w roku 1942, a przecież w 1943 i 1944 roku zostały schronienia w Watykanie bardzo liczne archiwum z ciałych Włoch; dziś archiwum watykańskie jest aglomeratem z trzech chyba setek różnych archiwów. Ten brak jedności, obok ogro-

poleńskich; cięższe się dziś trzeba z tego, że ładna z bomb, które spadły w ogrodach watykańskich w czasie tej wojny, go nie uszkodziła. Ale nie miejsce na to w tygodniku przeznaczonym dla żołnierzy — choćby co drugi z nich był profesorem czy docentem. Nie można rozsądzać ram tygodnika, a jeszcze o paru rzeczach wspomnieć wypada.

Więc przede wszystkim o tym, że obok Archiwum istnieje jeszcze Biblioteka Watykańska. Jest to instytucja sięgająca średniowiecza i słusznie uchodząca za jeden z najcenniejszych księgozbiorów świata. Cechą jego jest, że powstał on z darów i dość przypadkowo zakupowanych zbiorów; nieraz się działy uczeni nieoczekiwanym lukom, jakie spotykają obok jedyńskich, nie posiadających sobie równych, bogactw.

Niezrównaną wartością tej biblioteki jest jej dostępność; jej wspaniała sala „podręczna”, i to, że niedługo wszystko, co jest potrzebne dla studiów nad Archiwum Watykańskim znaleźć w niej można. W tym sensie jest ona doskonałym tego archiwum uzupełnieniem. Ale powstała ona niezależnie od archiwum, jest instytucją z nim równorzędną — a nawet poniekąd współzawodniczącą; bo posiada ona własny i to bardzo rozległy dział — rękopisów. Tym, którzy się temu dziwią i mówią, że przecież rękopisy należałyby właściwie do Archiwum — odpowiada się argumentem historycznym: że był czas, kiedy Biblioteka — przed Gutenbergem — z samych tylko rękopisów była złożona; i że do Archiwum należały tylko „akty” urzędów i władz, i że nie tam jest miejsce na dzieła naukowe i literackie, choćby były ręką pisane.

I jeszcze jedna uwaga: Archiwum Watykańskie, to wcale jeszcze nie całość archiwów Stolicy Apostolskiej. Istnieją poza nim, w Rzymie, liczne archiwum po kongregacjach; dość wspomnieć o niedostępnym, a niezmiernie ciekawym archiwum św. Oficium (mogą tam być akta procesu kanonizacyjnego królowej Jadwigi!) — alho Archiwum Kongregacji Propagandy, które z ogromnym trudem i mozolem s'ara się jakoś doprowadzić do przetrzyści stary, wypróbowany przyjaciel Polski, ksiądz Monticone. Są tam wszystkie sprawy kościoła grekoruskiego aż do powstania w ostatnim studium Kongregacji dla kościołów wschodnich.

A teraz parę słów o tym, co już dla dziejów Polski w Archiwum Watykańskim

SZÓSTY ROK WOJNY

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

Wojna światowa, rozpoczęta w dniu 1 września 1939 r. o Polskę, wchodzi obecnie w swój rok szósty, gdy znowu pozycja Polski w Europie staje się zagadnieniem głównym, zastrzeżonym dramatycznie, ciągnącym się od pięciu tygodni walk samotnej Warszawy. Przez tych pięć lat obfitujących w wydarzenia najbardziej wstrząsające, które zmniejszyły już tyle nadziei i obalily tyle planów oraz zamierzeń, jedno zagadnienie nie straciło na swej żywości i aktualności — zagadnienie polskie. Nie przestaje ono być kluczowym i dla wojny i dla pokoju. Nie pomogły deklaracje Niemiec i Rosji z r. 1939, że Polska istnieć przestała. Nie pomogły deklaracje biednego Mussoliniego, że „Polonia e liquidata”. Nie pomagają też obecne plany i zamiary cichego zduszenia sprawy polskiej w ciemnych zakątkach współczesnej dyplomacji.

Polska nie przestaje dawać nakrót do siebie. Co więcej, uzyskuje ona wśród narodów europejskich sympatie tym większe, im większe groźby jej niebezpieczeństwa. Wbrew temu, co myślał ci, którzy poza trwałymi wielkimi mocarstwami nie widzą świata. Polska nie jest sama. Jest tak jak r. 1939 symbolem Europy. I dlatego jeżeli nad dotychczasowymi gigantycznymi wysiłkami wojennymi i nad ich wynikami zawiśniesz znak zapytania, jeżeli „Osservatore Romano” mógł wystąpić niedawno z artykułem pod nagłówkiem „Perché?” (Dlaczego?), w którym stawiał pytanie, po co właściwie toczy się ta wojna, to wyłuszczeniem tych wątpliwości i tego tragicznego sceptycyzmu są chmury, które wciąż wiszą nad Polską. Wojna nie rozstrzygnęła dotychczas zagadnienia polskiego i dlatego perspektywy prawdziwego pokoju są tak niejasne, mimo że, jak się wydaje, stojemy już w przededniu zwycięstwa nad Niemcami.

Londyńskie memorandum

Sprawy polskie czekają wciąż na rozwiązanie, lecz podstawą tego rozwiązania nie może być memorandum rządu polskiego w sprawie stosunków polsko-sowieckich, które podobno zostało przesłane do Moskwy. Nie znamy dotychczas oficjalnego tekstu owego dokumentu i opierać się musimy na notatkach prasowych i doniesieniach radi. Wynikało wszakże z tych informacji, że rząd p. Mikołajczyka proponuje Rosji trwały sojusz, uregulowanie na nowo granicy polsko-sowieckiej „w ramach nowego porządku europejskiego”, przystąpienie partii komunistycznej do obecnej koalicji rządowej, wejście ministrów komunistycznych do rządu, który utworzyłby p. Mikołajczyk w Warszawie, wreszcie rozstrzygnięcie sprawy konstytucyjnej przez plebiscyt po wywołaniu kraju.

Jeżeli wiadomości te byłyby ścisłe, oznaczałyby one zerwanie przez rząd obecny z dotychczasowymi prawnymi i politycznymi podstawami rządu. Byłoby to zerwanie tego układu, który wytworzył się między krajem i emigracją w okresie wojny obecnej. Dotychczas rząd p. Mikołajczyka tak ściśle przestrzegał owego układu, że nawet nie zgadzał się na rozszerzenie koalicji rządowej — oczywiście w ramach obowiązującej konstytucji — przez wprowadzenie do rządu przedstawicieli stronnictw polskich w nim nie reprezentowanych. Dziś memorandum p. Mikołajczyka proponuje komunistom, a więc obcym agentom, to czego rząd odmawiał stronnictwom i ugrupowaniom naprawdę polskim. Nie wchodzić na razie w meritum sprawy i czekać na bliższe wyjaśnienie treści memorandum musimy oświadczyć, że oczywiście z chwałą wprowadzenia czynników obcych do rządu polskiego wytworzyłaby się nowa pod względem prawnym i politycznym sytuacja. Podstawa legalności polskiej, opierająca się na ciągłości władz konstytucyjnych, uległaby zniszczeniu, co niewątpliwie zmusiłoby wszystkie czynniki polskie w kraju i na emigracji do podjęcia decyzji w sprawie właściwego ustosunkowania się do nowego tego faktu.

„Wina rządu polskiego”

Warszawa walczy dalej i dotąd nie znaleziono sposobu zarządzenia jej tragicznemu położeniu. Nadchodząca dla niej pomoc drogą lotniczą z Anglii czy z Włoch, pomocna dużymi ofiarami lotniczą, jest najzupełniej nie wyślarzająca wobec wzrastających potrzeb walczącej stolicy. Pomoc ta nie zdola w każdym razie przezwyciężyć szalą na rzecz powstańców. Pomocie ze strony sowieckiej zostało odmówione nawet pod postacią udzielenia lotnisk dla samolotów przybywających z Zachodu z pomocą. A jak ta pomoc jest potrzebna, świadczy melancznie delegata rządu w Warszawie, który doniósł, że na skutek zniszczenia miasta już ponad 250 tys. ludzi straciło wszystko, co posiadało. Oprócz amunicji Warszawa domaga się żywności, odzieży i lekarstw dla ludności cywilnej. I trzeba niemałego cywilizmu, by tłumaczyć, jak to uczynił w Lu-

blinie p. Żymierski w imieniu „Komitetu Wyzwolenia”, że pomoc Warszawie udzielona być nie może, gdyż zachodzi obawa zrzucenia samolotami dostaw do tych części miasta, które są okupowane przez Niemców. A jednak z baz brytyjskich i włoskich samoloty odlatywały nad Warszawę...

Trzeba przyznać, że sytuacja ta wywołuje w prasie komentarze, które coraz bardziej zbliżają się do prawdy. Duże wrażenie wywołał artykuł Vernona Bartletta w „News Chronicle”. Donosi on m. inn., że Moskwa nie tylko odmawia baz lotniczych dla przesyłania pomocy Warszawie, ale grozi procesami przywódców powstania za jego wzniesienie. Dla p. Bartletta stanowisko to jest niewytłumaczalne i dlatego zapewne składa on część wnieśli w rząd polski w Londynie, który postanowił „pozostawić wybór chwili wybuchu powstania całkowicie generalowi Borowi, nie licząc się z planami strategicznymi Brytyjczyków, Amerykanów i wojsk sowieckich”.

Sprawa odpowiedzialności za wybuch powstania jest zagadnieniem ważnym, ale jest sprawą wewnętrzną polską. Polska jest od pięciu lat w wojnie z Niemcami i tylko ona jedna decyduje: owo o posunięciach wojennych na swoim terytorium. Rządy i sądy sowieckie nie mają tu do powiedzenia. Gdybyśmy bowiem przyjęli rozumowanie p. Bartletta, musielibyśmy też przyznać rację wywodom tych publicystów angielskich, którzy zarzucają rządowi brytyjskiemu przystąpienie do wojny w sytuacji, w której nie mógł udzielić należytej pomocy Polsce.

Wiadomo zresztą, że nie o to tu chodzi. Jest zbyt wiele dowodów na to, by stwierdzić, jak usilnie propaganda sowiecka prowokowała wybuch powstania. Przysłuchiwać się też raczej musimy do wywodów „Ponomska”, który z burzeniem stwierdzał, iż Polakom walczącym w Warszawie nie tylko odmawia się pomocy, ale grozi się represjami i że to nie Polacy odmówili współpracy z wojskami sowieckimi, lecz że „ci którzy stoją u drzwi Warszawy nie chcieli pomóc ludziom walczącym wewnątrz miasta”. „Economist” stwierdzał, podobnie jak stwierdzaliśmy to tydzień temu, że potworny ten stan rzeczy dłużej trwać nie powinien. „Powstanie Warszawy — pisał „Economist” — stanowi wielki wkład do sprawy sprzymierzonych: pomoc zatem tak skuteczna, jak ta, która była udzielona Przewoźni, nie może być odmówiona”.

Przyglądamy się też do wywodów londyńskiego „Dziennika Polskiego”, który w ostrym artykule stwierdzał, że apele władz polskich w Warszawie, by rozpoczęto bombardowanie niemieckich ośrodków oporu, stanowisk artylerii ostrzeżujących stolicę oraz lotnisk „pozostały do tej pory daremne”. „Bomby sojusznicze — pisał „Dziennik Polski” — spadały na Niemców wszędzie w Europie, spadały nawet na fabryki pracujące dla Niemców na terenie Polski. Bombowce RAF dotarły nawet do Królewa, w jednym tylko punkcie Niemcy byli jak gdyby bezpieczni przed bombami sojuszniczymi — w rejonie Warszawy”. I to jest jedna jeszcze strona owej tragicznej sprawy, za którą odpowiedzialność zrzuca p. Bartlett na rządy polskie.

I jeszcze jedno. Dopiero teraz, w piątym tygodniu walk w Warszawie żołnierze Armii Krajowej zostali uznani za regularnych kombatanów przez W. Brytanię i Stany Zjednoczone A.P. Stało się to po nieustannych apłach stolicy wysyłanych na skutek okrutnego obchodzenia się Niemców z jeńcami polskimi w Warszawie. Meldunki ze stolicy podkreślały jednocześnie, że nieregulowanie tej sprawy wymaga rozporządzenia wśród walczących w stosunku do narodów sprzymierzonych. Uznanie przynajmniej późno należało niewątpliwie wskazać je zezwasiu przed wybuchem powstania. Ale znówu charakterystyczną stroną załatwienia tej sprawy jest brak podobnego uznania ze strony rządu sowieckiego.

Opieka wielkich mocarstw

Konferencja trzech wielkich mocarstw w Dumbarton Oaks ustaliła już podobno trzy zasadnicze punkty, na których opierać się ma bezpieczeństwo świata powojennego. W gruncie punkty te przewidują utworzenie nowej Ligi Narodów, w której mniejsze państwa poza trzema wielkimi mocarstwami odgrywałyby jeszcze mniejszą rolę niż w Lidze Narodów genewskiej. Właściwie przyznano by im zadania czysto doradcze, z tym, że ciężar obrony pokoju i granic spoczywałby wyłącznie na trzech wielkich mocarstwach.

Należy zastanowić się, gdzie leży główne źródło ponowierzenia suwerenności prawa-

mj narodów średnich i mniejszych. W „Union Jack” z dn. 28 sierpnia ukazała się wiadomość, że sowieccy delegaci na konferencję w Dumbarton-Oaks „zaskoczyli” swoich partnerów przedstawiając im propozycję niezmiernie krótkie, ale za to treściwe. Rosyjski plan bezpieczeństwa opiera się na organizacji światowej wspieranej siłą, z tym, że użycie jej należałoby tylko do wielkich mocarstw, które reagowałyby przeciw „mścicielom pokoju”. Wynikałoby z tego, że plan bezpieczeństwa opracowany w Rosji sowieckiej wychodzi z założenia, iż mścicielami pokoju mogą być tylko owe średnie i mniejsze uzbrojone oraz zmaltretowane narody. Uzbrojone od stóp do głów wielkie mocarstwa nie będą oczywiście zagrożone nikomu i będą żyły z sobą w idealnej zgodzie. A co się stanie, gdy będzie inaczej?

Nie wiemy, któremu z wielkich mocarstw przypadnie rola czuwania nad bezpieczeństwem Polski. Jeżeli wszakże te zadania miałyby być powierzone Rosji, to po doświadczeniach z r. 1939 i po obecnych ponurych doświadczeniach Warszawy można już z góry powiedzieć, że Rosja nie przyjdzie na pomoc Polsce w razie ponownego zaatakowania nas przez Niemcy. Plany w Dumbarton-Oaks nie mają nic wspólnego z rzeczywistością ani z bezpieczeństwem. Mają natomiast inne cele na oku.

Co inoego w Włoszech

Premier Churchill opuszczając Włochy wystąpił z orędziem do narodu włoskiego, w którym zapewniał, że Włochy odzyskają po wojnie największy skarb, bo wolność i że z czasem, przy swych wysiłkach, odzyskają miejsce wśród wielkich mocarstw europejskich. Premier Churchill rozwiódł się przy tym obszernie w orędziu na temat organizacji państwa demokratycznego danie Włochom szereg wskazań praktycznych. Stwierdził on, że w państwie, w którym panuje wolność, dana jest każdemu możliwość wypowiedzenia swego zdania, przeciwstawiania się rządowi, który jest przy władzy i krytykowania jego zarządzeń. W państwie takim istnieje możliwość obalenia rządu, z którym nie zgadza się opinia oraz istnieją środki konstytucyjne, które pozwalają narodowi zaznaczyć swą wolę, itd.

Taki wzór państwa wolnościowego postawił Churchill Włochom. Czy wzór ten ma obowiązywać wszystkie narody europejskie i czy będzie stosowany we wszystkich okolicznościach? Nie jest bowiem tajemnicą dla nikogo, że ustrój państwa sowieckiego stanowi jaskrawe zaprzeczenie wskazań premiera Churchilla. Pisarz nawet tak sympatyczny dla Rosji jak Burnham w słynnej książce „Managerial Revolution” przyznawał, że Rosja nie może być uważana za państwo wolnościowe, albowiem prawo opozycji, które Churchill postawił na pierwszym punkcie swoich wskazań, tam nie istnieje. Wimy zresztą, że nie tylko prawo to nie istnieje, ale że w praktyce każdy, kto podejrzewany jest nawet o chęć krytykowania rządu, dostaje się co najmniej do „lagrow”.

Wobec tak jaskrawych sprzeczności między wskazaniami p. Churchilla dla Włoch a praktyką Rosji sowieckiej, która w Europie ma otrzymać swoją strefę wpływu, zachodzi pytanie, na jakich zasadach ideowych ma być zorganizowany nasz nieznany kontynent i czy możliwe będzie siedziadowno w Europie państw, z których jeden stosować będą wzory Churchilla, a inne zmuszone będą do kierowania się zasadami narzuconymi z Moskwy.

Pikantnym szczegółem orędzia premiera Churchilla jest fakt zanotowany przez korespondenta „Timesa” w Rzymie. Mianowicie organy włoskiej partii socjalistycznej oraz włoskiej partii komunistycznej, „Avanti!” i „Unita”, złożone, jak wiadomo, partijnym sojuszem, ocenowały mowę Churchilla na swoich łamach wykręcając z jego tekstu zdanie, w którym premier ostrzegł Włochów, by nie dopuścili do dojścia do władzy stronnictw pozbawionych skrupułów oraz do rządów jednej partii.

Bałkany

Kapitulacja Rumunii i zwrocenie się przez Bułgarię do W. Brytanii i St. Zjednoczonych o zaprzestanie wojny stawia w pełni zagadnienie Bałkanów. Okazało się przy tym, że rozejm między Rumunią i państwami sprzymierzonymi dotąd nie został podpisany, choć znane są pewne oświadczenia złożeńa na których ma być oparty. W tej sprawie delegacja rumuńska, kierowana przez ks. Stirbey wyjechała do Moskwy. Nie wiadomo, czy ks. Stirbey rotować będzie w Moskwie wyłącznie z rządem sowieckim czy też z

delegatami innych mocarstw sprzymierzonych. W Ameryce zaznaczono, że w Moskwie przebywa amerykańska misja wojskowa upoważniona do podpisania rozejmu. Delegaci bułgarscy natomiast zjawili się w Kairze dla podpisania rozejmu z W. Brytanią i St. Zjednoczonymi. Warunki tego rozejmu zostały opracowane w alianckiej komisji dla spraw europejskich, która urzęduje w Londynie. W pracach tej komisji biorą udział delegaci Rosji, która nie znajduje się w stanie wojny w Bułgarię. Powstaje tu dość zasadnicze pytanie, przez kogo Bułgaria będzie okupowana. Czy przez W. Brytanię i St. Zjednoczone, które na razie nie mają do niej prostego dostępu, czy też przez Rosję, z którą Bułgaria nie walczyła? Wypływno to oczywiście w całej rozciągłości zagadnienie podziału stref wpływu na Bałkanach.

Jest rzecz charakterystyczna, że prasa sowiecka zaatakowała nagle Bułgarię oskarżając ją, że ogłoszona przez nią neutralność jest nieszczerą i że udziela ona nadal pomocy i schronienia Niemcom utrzymując w swoich portach niektóre niemieckie okręty wojenne. Również wysocy zmianem na jest podobna nadszaska prasy sowieckiej na Turcję, którą oskarża się, że jej zerwanie z Niemcami było czyste i formalne i że różni agenci niemieccy w dalszym ciągu działają na terenie tureckim. Do czego ma się prowadzić owe wystąpienia w chwili, gdy Bułgaria zwróciła się o pokój do mocarstw anglosaskich i gdy Turcja zgodnie z życzeniami mocarstw anglosaskich zerwała z Niemcami?

Fronty

Dwa fakty skupiają uwagę na frontach. Podbój przez Rosję moldawskiej i włoskiej części Rumunii z Constanza, Bukaresztu i Ploesti oraz dalsze biskawicznie oprowadzanie przez wojska sojusznicze Francji. W Rumunii Niemcy zmuszeni byli oddać znaczny już część: zagłębia naftowego i szlak oparcia w Karpatach. We Francji grozi im nowe okrażenie wskutek niezmiernie szybkiego posuwania się wojsk amerykańskich w kierunku granicy niemieckiej, a zwłaszcza belgijskiej, co grozi nowym odcieciem wojsk niemieckich znajdujących się między Sekwaną a Dunkierką. Na południu po zajęciu Marsylii i Nici wojska sojusznicze zaczęły posuwać się na zachód w kierunku granicy hiszpańskiej, od której oddalone są o kilkadziesiąt kilometrów. Wojska niemieckie wycofują się na linię Siegfrieda.

Powstaje tylko pytanie, czy utrzymają one front w Alpach wzdłuż dawnej granicy francusko-włoskiej. Ochronek przez Niemców miasta Briancon, leżącego na tej granicy, w pobliżu Turynu, lecz jeszcze po stronie francuskiej, wskazywały, że zamierzają oni linię tę utrzymać, by nie dopuścić do okrażenia linii Gotów we Włoszech. Dlatego szerególnego znaczenia nabierają nowe sukcesy 2. Polskiego Korpusu, który zdobywszy port Pesare nad Adriatykiem zbliżył się znacznie do Rimini — ostatniego zawiąsu zamykającego przed sprzymierzonymi drogę do Lombardii.

Niemcy nie ukrywają powagi położenia i starają się zaradzić niebezpieczeństwu wytworzenia się nowego frontu na Bałkanach. Okupowanie przez ich wojska Słowacji oraz zmiana rządu na Węgrzech, gdzie na miejsce gabinetu Sztójajki, który nagle, po otrzymaniu dymisji, zakończył życie, doświadczył do władzy rząd o charakterze wojskowym, który rzekomo dąży do zamierza prowadzić wojnę.

Najbardziej jednak charakterystyczne było wystąpienie gen. Dittmara, wojskowego komentatora radia niemieckiego, który w swej ostatniej audycji poświęcił mniej uwagi sprawom strategicznym, lecz starał się dać polityczne uzasadnienie dla prowadzonej przez Niemcy w dalszym ciągu wojny. Stwierdził on, że Niemcy nie ma, ją innego wyjścia, albowiem alianci nie chcą uznać „słusznych praw niemieckich do życia”. Niemcy zatem nie znajdują się przed alternatywą walki lub pokoju bezwarunkowego, ale przed koniecznością prowadzenia wojny o to, by „być albo nie być”. Wnioś musi być prowadzona dalej — zdaniem gen. Dittmara — aby skłonić aliantów do wyrczenia siebie zdajenia do „całkowitego zniszczenia Niemiec”. Z tych zawiłych wywodów wynikało, że gdyby Niemcy miały zwycięzić, iż nie ulegną „całkowitemu zniszczeniu”, nie byłoby przeciw wszystkim wstępcim rokowań o pokój. W związku z tym należało podkreślić oświadczenie amerykańskiego sekretarza stanu Cordella Hulla, który stwierdził, że Niemcy pragnęłyby pokoju zawartego w drodze zasadę „bezwartunkowej kapitulacji”. W Berlinie zaś oświadczone, że pogłoski o prowadzeniu przez Niemcy różnów pokojowych są hezpodstawne. D. I.